

Norman Spinrad

# Jeździec na pochodni

*(Riding the Torch)*

przełożyła **Jolanta Kozak**

Norman Spinrad należy do tego pokolenia pisarzy SF, którzy stojąc na barkach takich twórców gatunku jak Asimov czy Clarke posługiwali się konwencją fantastyczną dla realizacji swoich bardzo różnorodnych zamierzeń pisarskich (B.W. Aldiss, U. Le Guin, G. Wolfe). Tutaj Spinrad daje swoją, psychodeliczną wersję poszukiwania ostatecznej prawdy poprzez piętrzenie doznań estetycznych, osadzoną w ulubionej przez niego atmosferze schyłkowości. Mikropowieść "Jeździec na pochodni" została nagrodzona Jupiterem w, roku 1975.

L.J.

## Rozdział I

Siejąc tęczowe błyski z obcisłego lustrzanego kostiumu, spowity w obłok czarnej peleryny, Jofe D'mahl wtargnął poprzez dymnie połyskliwy ekran ściany-burty ogromnego salonu-okrętu, przy akompaniamencie pierwszych taktów Piątej Symfonii Beethovena. Wraz

z jego ciałem, migotliwą ścianą przeniknęło widmo światła, obwieszczając naocznie obecność gospodarza ręciovymi pulsującymi błyskami. Wszystkie głowy się odwróciły, wszystkie postacie zamarły i całe przyjęcie zastygło na dłuższy bit, w którym Jofe D'mahl przywitał gości ironicznym półklonem. Dopiero, kiedy ruszył po mglistym parkiecie w stronę unoszącej się w powietrzu tacy z olśniewaczami, bankiet odzyskał poprzedni rytm. Jofe D'mahl zrobił wejście.

Wybrał z tacy purpurową kulkę, wrzucił olśniewacz do ust i wgryzł się przez wyrafinowaną, orzeźwiającą gąbczastość w przejmujące jądro aksamitu, doznając smakowego orgazmu. Pierwsza klasa, autorstwa niejkiej Lindy Wolder - tak powiedziała Jiz i jak zwykle trafiła w dziesiątkę. D'mahl wczuł nazwisko Lindy Wolder do swojego banku, włączając je w ścieżkę zmysłową z ostatnich dziesięciu sekund i uzupełniając nim bieżącą listę bankietową. W rzeczy samej, to wschodząca gwiazda, trzeba o niej pamiętać.

Postukał w szybującą tacę, aby podążała za nim i ruszył poprzez wielobarwną, sięgającą kolan mgłę, rozdając ukłony i spojrzenia soczycie zielonych oczu, chłonąc klimat, który sam powołał do życia.

D'mahl skusił samego Hiro Korakina, aby zaprojektował mu grand-salon jako interpretacje osobowości. Korakin wywiesił z kadłuba statku olbrzymią, półkolistą płytę usianego bąbelkami powietrza szmaragdu i nakrył ten wielki taras kloszem z przezroczystego plexi, oferując gościom D'mahla zapierający dech w piersiach, bezpardonowy obraz wszechświata. "Excelsior" mieścił się właściwie w centrum Wielkiego Szlaku, zaś linię horyzontu salonu wyznaczała liczna flota statków - dumne drogocenne miasto migotliwych światel. Dziesięć kilometrów przed dziobem "Excelsiora", błona wodorowa o wyglądzie zorzy polarnej oddzielała ich od niezmierzonej nagości przestrzeni międzygwiazdnej.

Wyrzeć poza krawędź tarasu, w wypolerowaną i rozjarzoną światłami czeluść cylindrycznego kadłuba "Excelsiora", znaczyło stanąć oko w oko z widokiem, który wysał się w głąb duszy, aż po samo dno - bezdenny międzygwiazdny jar, bezgraniczna czarna studnia, a w niej miriady gwiazd jak połyskliwe drobinki nieznaczącego pyłu - nicość rozciągnięta po wieczność w czasie i przestrzeni. Gdzieś w tej czerni, w nieokreślonym punkcie, niewidoczny pióropusz pochodni "Excelsiora" łączył się z dwoma tysiącami trzydziestoma dziewięcioma podobnych sobie pióropuszy pochodni innych statków, w eteryczny ogon komety z ledwie widzialnego płomienia o barwie fioletu, który blakł

stopniowo w cienką smuzkę, ciągnącą się po wieczność w głąb czeluści. Był to ślad przejścia Karawany, który jak nitka z kłębka rozwijał się wstecz w przestrzeni i czasie, na odległość setek lat świetlnych i blisko dziesięciu stuleci, ślad dostrzegalny, który można by, zdawało się, prześledzić wzrokiem poprzez wieki aż po sam ogród utracony - Ziemię.

Jofe D'mahl wiedział doskonale, że dla wielu z jego gości owo dosłowne, realistyczne zobrazowanie kondycji ludzkiej jest czymś niepokojącym, przerażającym, może nawet w złym guście. Ale to było ich zmartwienie: dla D'mahla był to widok oszałamiający, co, naturalnie, słusznie podnosiło jego i tak już wysoką opinię o własnej osobie. Nie bez kozery Krakin cieszył się sławą najlepszego psychitekta w Karawanie.

Wnętrze grand-salonu D'mahl urządził jednak osobiście, przy nieocenionej współpracy Jiz Rumoku. Na przezroczystej szmaragdowej posadzce zasadził migotliwy las rubinowych, szafirowych, diamentowych i ametystowych drzew, zwodniczo wiernie naśladowujących żywe formy z odległej przeszłości, które przy każdym najlżejszym drgnienu powietrza trzepotały połyskliwymi liśćmi z kryształu. Efekt dopełniała wonna mgła, w której mieszały się błękitne, czerwone i liliowe odcienie wiecznie opalizujących drzew i która poza klimatem baśni utrzymywała stałą grawitację 8 gs na synck. Dla złagodzenia ostrości kryształowych krawędzi, Jiz wystarała mu się o zestaw czterdziestu pufo-kul, puchowych balonów w stonowanych odcieniach zieleni, brązu, ochry i szarości, które szybowały gdzie popadło tuż nad poziomem posadzki, dopóki ktoś w nich nie usiadł. Korakin uchwycił rdzenną dla D'mahla przenikliwość widzenia, a sam Jofe dołączył do tego neobarokowy styl swoich ostatnich sensosów. Wynikłe z tego połączenia dzieło sztuki tchnęło paradoksem, jakim była sama Karawana. Dla gości paradoksem owym był Jofe D'mahl. W zgodzie z własnym ego, D'mahl nie czynił w tej kwestii żadnych rozróżnień.

Lista gości była również dziełem sztuki w nowym, neobarokowym stylu D'mahla - zgromadził konstelacje ludzi stworzonych do tego, aby to łaścić się przymilnie, to znów zgrzytać jak potłuczone szkło, tu i ówdzie popierać płodozmiany, ale cały czas trzymać na ogniu staroświecki imbryk karmy. Jans Ryn brylowała jak zwykle przed mieszaną kompanią, w której znajdował się między innymi główny strażnik pochodni "Excelsiora", dwaj ziemioryjcy z Kantucka, oraz Tanya Davis, żmija w atlasowej skórze. Znaczny tłumek asystował też zagorzałej dyskusji między Daltą Reed a Trombleau, astrofizykiem z Polany. Mniej znaczeni goście kręcili się to tu, to tam, pełniąc mniej znaczne, role. Aby przyjęcie mogło błysnąć pełnym blaskiem pochodni, potrzebny był katalizator.

I dokładnie o 24.00 katalizator taki miał się wstrzelić w ich niewinne czujniki - miało to być premierowe wyczucie nowego senso Jofe D'mahla pt. "Wędrujący Holendrzy". D'mahl wyrzeźbił z próżni rzeczywistą prymę - i był tego świadom.

... dzięki sięgnięciu poza granice pierwotnego promieniowania a następnie śledzeniu nitki aż do kłębka...

-... jak tysiąc słońc, powiedzieliby na Almagordo, Jans, a to za ledwie o jedną zaporę i jedno pole przepływu stąd...

- ...pan się musi czuć jak Prometeusz...

- Jofe! Ten tutaj nova przechwała się, że uzyskał wzór spektralny dla życia organicznego - krzyknęła Dalta, wciągając D'mahla na moment w swoją orbitę.

- Na taśmie gwiazdoskopowej? - zapytał z powątpiewaniem D'mahl. - W teorii - przyznał Trombleau.

- Skąd my to znamy? - skwitował D'mahl, racząc się kolejnym olśniewaczem panny Wolder. Kęs przecisnął się między zębami, po czym eksplodował gorzką słodyczą, która niemal natychmiast przerodziła się w długotrwały, dymny posmak. Niezłe, pomyślał D'mahl, oddalając się tanecznym krokiem od rozwartych ust Trombleau, zanim został wessany w dyskurs.

D'mahl brodził w oparach mgieł; zaszedł znienacka Arniego Simkova, klepnął po tyłku Dariusa Warnera i stanął przy grupce gości otaczających Johna Beninę, który był w senso punktem widzenia. Próbowali wyciągnąć z niego coś na temat senso, ale John dobrze widział, że jeśli puściłby parę przed premierą, jego szansę na ponowną współpracę z Jofe D'mahlem osiągną równo jeden bzdet.

Nie bądź taki, Jofe, powiedz nam coś niecoś o tych Wędrujących Holendrach - nalegała kobieta odziana w obłok jaskrawożółtej mgły. D'mahl nie przypominał jej sobie cielesnie, ale nie zadał sobie trudu wczucia się po informacji. Wgryzł się natomiast w sześcienny olśniewacz, który zatomizował się pod dotknięciem zębów, na jeden szalony mikropuls wybielając każdą z osobna synapsę ust. Fuj.

- Zdradzę wam dwie rzeczy - powiedział. -Jednym z dwóch głównych punktów widzenia był John Benina, całość zaś jest mitmaszem.

Rozległ się chóralny jęk, pod osłoną którego D'mahl odbił rykoszetem w stronę Jiz Rumoku, stojącej w oparach zielonej mgły z kimś, kogo nie potrafił zidentyfikować.

Jiz Rumoku była jedyną osobą obdarzoną przywilejem zapraszania na bankiety D'mahla własnych gości, a także jedyną chyba osobą, która nie mając nic wspólnego z powstaniem "Wędrujących Holendrów" miała o dziele jakiegokolwiek pojecie. Gdyby podejrzewać Jofe D'mahla o posiadanie duszmana, (co jest założeniem mocno wątpliwym), duszmanną jego byłaby Jiz.

Ubrana była, jak zwykle, w ostatni krzyk jutrzejszej mody: kombinezon ze świetlistej, wyglądającej na sztywną, zielono-purpurowej tkaniny z mozaiką figur geometrycznych, dopasowany do linii ciała jak średniowieczna zbroja. Poszczególne płaszczyzny uwidaczały się subtelnie z każdym ruchem, dając wspaniały owadzi efekt, ukoronowany wysokim, pierzastym grzebieniem, w którym wymodelowane były elektrostycznie jej długie, czarne włosy.

Uwagę D'mahla jednak przyciągnął jej towarzysz, gdyż był to bez wątpienia prózniojad. Poza niebieskimi slipami i sandałami nie miał na sobie nic; na całym ciele ani włoska, a łysa czaszka pomalowana była na kolor srebrny. Pomijając kreację, natychmiast zdradzały go oczy: błękitne okna plexi wpatrzone w nieskończony wszechświat absolutnej czerni uwięzionej dzięki jakiejś topologicznej sztuczce we wnętrzu jego połyskliwej czaszki. D'mahl wczuł ten obraz do banku czuciowego.

- Imię, nazwisko - wydał wewnętrzne polecenie. W jego umyśle pojawiło się nazwisko "Haris Bandoora". - Dane, w skrócie - zażądał.

- Haris Bandoora, lat standardowych pięćdziesiąt aktualnie dowódca statku zwiadowczego "Bela-37"; powrócił do Karawany w ubiegły wtorek, 4.987. Raport w bieżącym czasie realnym niedostępny.

A więc tym razem Jiz postarała się o rzeczywiście łakomy kąsek - prózniojada tak świeżo przybyłego z dalekiego niebytu, że Rada Pilotów nie zdążyła jeszcze opublikować jego raportu.

- Miło powitać pana z powrotem w cywilizacji, panie dowódcu. Jaka ona jest, taka jest - ale zawsze.

Bandoora zwrócił na niego próżnię swoich oczu.

- Jaka ona jest, taka jest - powtórzył zimnym, dźwięcznym głosem, który podsumowywał, oceniał i dyskutował historie ludzkości w kilku martwych sylabach.

D'mahl odwrócił wzrok od czarnych przepaści, spojrzął w migdałowe oczy Jiz i na moment oboje przeculi się wzajemnie w intymnym powitaniu. Jofe ujrzał własne ciało w lustrzanym odbiciu, poczuł ciepło, jakie budziło ono w Jiz. Ucałował własne usta jej ustami, smakując elektryczną dymność spożytych niedawno olśniewaczy. Usta ich rozłączyły się, odczuli się równocześnie.

- Co pan tam pisze w tym raporcie, którego Piloci nie przekazali jeszcze do banków?  
- zapytał D'mahl z konwersacyjnym zainteresowaniem. (Jak tu gawędzić niezobowiązująco z próżniojadem?)

Wąskie usta Bandoory rozchyliły się w czymś, co mogło być uśmiechem, ale równie dobrze i skrzywieniem bólu. D'mahl wyczuł, że parametry emocjonalne tego człowieka są prawdziwie obce jego doświadczeniom, czy to prymarnym, czy symulom. Nigdy dotąd nie poświęcał większej uwagi próżniojadom i teraz sam się dziwił, dlaczego. Należało koniecznie sporządzić poza-senso na ten temat.

- Znaleźli planetę - oświadczyła Jiz. - O 23.00 wydany będzie biuletyn ogólny.

- Bomba - orzekł D'mahl, nadając temu słowu niuanse wszystkich doznań, jakie poruszało. Próżniojady zawsze wracały z raportami o nowych, jeszcze ciepłych, systemach słonecznych, elektryzując Karawanę na parę miesięcy, podczas których gorączkowo szykowali się do bezpośredniego sondażu badawczego, po czym, skoro tylko okazało się, że cudowna planeta to jeszcze raz tylko bzdet z głązów i przyprawiającego o mdłości gazu, kierowali egzaltację obywateli Karawany na kolejną Ultima Thule. Już blisko tysiąc lat, wiedli tak Karawanę zrywami po zygzakowatym szlaku wśród próżni od jednej płonnej nadziei do drugiej - dlatego też w opinii D'mahla ten ostatni bzdet nie był nawet godzien miana kosmicznej bujdy. Ale i tak stanie się objawieniem co najmniej trzech najbliższych

miesiący, czyli podłapanie biuletynu przed oficjalną jego publikacją to tak czy owak numer pierwsza klasa, prawdziwy zastrzyk dla niego. Bomba.

- W tym przypadku szansę wyglądają nieźle - powiedział Bandoora.

- Jak zawsze, nieprawdaż? - zauważył jadowicie D'mahl. - I zawsze wychodzi na to samo. Jeżeli w strefie potencjalnego zasiedlenia występuje skała, jej grawitacja urywa głowy, albo też atmosfera stanowi smakowity koktajl wodoru, cyjanku i fluorku. Czy nie wydaje się panu czasami, Bandoora, że jakaś kosmiczna osobistość próbuje zakomunikować panu coś, czego pan nie chce słuchać?

Wewnętrzny wyraz emocji Bandoory wykrzywił się jakby pod beznamiętną powłoką ciała. Jego dolna warga zadrgała w tiku. Co ja takiego powiedziałem?, zdumiał się D'mahl. Te próznojady naprawdę daleko zabrnęły po wektorach zdziwaczania.

Jiz zdobyła się na wymuszony uśmiech.

- Pochodnią, na której jeździ Jofe, jest czyste ego - powiedziała. - Jofe ma kwaśną minę, bo biuletyn upuści nieco H z jego premiery. Nie mam racji, Jofe, ty ego-potworze?

- Nie tykaj ego - odparł Jofe D'mahl. -Jedynie ono stoi między nami a okulałym Wszechświatem, na który mamy nieprzyjemność być skazani. Ponieważ moja opinia o sobie jest jedyną znaną mi rzeczą w zaściankowej kosmicznej hierarchii przewyższającą wspaniałość mojej osoby, stwierdzam, że jedynie moje ego godne jest uwielbienia. A to dowodzi, że jestem...

- Nieznośny? - odpowiedziała Jiz.

- Że jestem po prostu człowiekiem - sprostował D'mahl - Ponieważ i tak jestem na to skazany, niech mi chociaż będzie przyjemnie.

- Biuletyn Rady Pilotów. - Słowa te wtargnęły do umysłu D'mahla z odpowiednią dozą taktu, co było dowodem poprawy manier od czasów, kiedy Pilotom zdawało się, że mają prawo wstrzelić się człowiekowi w fugę zmysłową, ilekroć przyjdzie im na to ochota. - Dziesięć... dziewięć... osiem... siedem... - D'mahl przyciągnął do siebie zieloną pufu-kulę i zakotwiczył szybującą chmurę cząsteczek poprzez umieszczenie w niej swojej czcigodnej sempiterny. Jiz i Bandoora zajęli miejsca po jego bokach. - Sześć... pięć... cztery...

Ci goście, którzy jeszcze stali, pozajmowali miejsca: nigdy nie było wiadomo, jak długo potrwa przekazywanie biuletynu. Piloci cierpią na groteskowy przerost poczucia własnej wartości, pomyślał D'mahl A to dowodzi, że są...

- ...trzy ...dwa ...jeden...

Po prostu ludźmi.

D'mahl siedział na ławie w samym centrum niedużego amfiteatru. Wokół niego zasiadało piętrowo dwa tysiące czterdziestu ludzi ubranych w archaiczne niebieskie kurtki wojskowe, pamiętające czasy, kiedy tytuł Pilota Statku oznaczał funkcję paramilitarną, a nie obieralny urząd. D'mahl uznał jednorodność strojów za groteskowo komiczną, a krąg dziennego nieba nad ziemiopodobną planetą za banalny i uwłaczający dobremu smakowi - mimo to jednak musiał przyznać, że większość Pilotów, z ich naiwnym wyobrażeniem o pozycji egzystencjalnej Karawany, ujmowała go i rozczulała swoją prostodusznością.

Ryn Nakamura, siwowłosy starzec od lat, których już nikomu nie chciało się liczyć, piastujący stanowisko Przewodniczącego Rady Pilotów podszedł do niego majestatycznym krokiem, obiema dłońmi klepnął go po ramionach i zasiadł obok. Pachniał natrętną perfumą, skomponowaną jako symula woni mądrości, spleśniałych pergaminów i gnijącej słodczy. Jako artysta, D'mahl uznał kompozycje za udaną, jakkolwiek nieprzyjemnie jednoznaczna; jako obywatel odebrał ją jako wyraz pogardy i wrogości.

Nakamura pochylił się ku niemu, i w tym samym momencie amfiteatr znikł, a oni siedzieli w zacisznej samotności abstrakcyjnej przestrzeni szczelnie otoczonej firmamentem gęsto skupionych gwiazd.

- Słuchaj, Jofe, statek zwiadowczy "Bela-37" powrócił do Karawany z raportem o systemie słonecznym, w którym istnieje potencjalnie zamieszkiwalna planeta. System zlokalizowany jest w obrębie półtora roku świetlnego od naszej aktualnej pozycji - obwieścił z namaszczeniem Nakamura.

D'mahl miał ochotę ziewnąć staremu nudziarzowi prosto w nos, lecz naturalnie dawca punktu widzenia skrzętnie nagiął jego plecy w stronę Nakamury, zaś Przewodniczący kontynuował wypowiedź kozim głosem:



- Rada stosunkiem głosów 1839 do 201 postanowiła zmienić wektor Karawany w kierunku tego systemu, oznaczonego jako 997-Beta, jeszcze przed ujawnieniem raportu.

D'mahl siedział w połowie wysokości amfiteatru, a Nakamura ciągnął formalne przemówienie z trybuny na dole.

- Żywimy szczerą nadzieję, że nasza długa przerwa zbliża się wreszcie do szczęśliwego końca, że jeszcze za naszego życia człowiek ponownie stanie na żywnych wzgórzach żywej planety, z niebem nad głową i wonią życia w nozdrzach. Na zakończenie biuletynu zacytujemy kilka wyjątków z raportu Harisa Bandoory, dowódcy statku "Bela-37".

Nie schodząc z mównicy, Nakamura przeistoczył się w Harisa Bandoorę.

- "Bela-37" podróżowała pod kątem trzydziestu stopni od głównego wektora Karawany - oznajmił beznamiętnym tonem Bandoora. - Prędkość w skali pochodni 0.9...

D'mahl stał teraz na mostku kapitańskim "Beli-37", będącym małym okrągłym pomieszczeniem, obrzeżonym imponującą aparaturą i zamkniętym kopułą z niebieskawego plexi dla zniwelowania efektu Dopplera, lecz wizualnie otwartym na przejmującą grozą wspaniałość przepastnej próżni. Okazało się, że jednym z czterech próżniojadów na pokładzie jest kobieta, która dla D'mahla stanowiła silną konkurencję wobec gwiazdnego spektaklu. Miała na sobie szorty i klapki, czaszkę zaś miała, jak cała reszta, łysą i posrebrzoną, ale jej nadnaturalnie stożkowate piersi i lśniące, silnie umięśnione ciało, sprawiły, że to, co powinno było budzić obrzydzenie, stało się abstrakcyjnym paradygmatem kobiecej urody. Czy ciepło, które poczuł, było jego własnym ciepłem, czy też pochodziło od dawcy punktu widzenia - a więc samego Bandoory - nie było teraz istotne.

- Gotowość do badania radarowego i rejestracji systemu 997-Beta - odezwała się oszałamiająca istota. D'mahl zbliżył się do niej, z zamiarem znurkowania w bezdenne oczy kobiety-próżnijada. Zamiast to osiągnąć, stwierdził, że usta jego przemawiają głosem Bandoory:

- Światło, Sidi.

Sidi wykonała jakiś zabieg na konsolce (co za archaiczne urządzenie!) i w centrum geometrycznym mostka kapitańskiego rozblęła aureola żółtej gwiazdy o średnicy mniej

więcej ludzkiej głowy. D'mahl wymienił z załogą pełne napięcia spojrzenia, czując somatycznie, jak jego oczekiwania rosną.

- Planety... - powiedział.

Pojawiło się pięć małych okrągłych cząstek, wirujących w sprężonym czasie wokół żółtego, słońca.

- Potencjalna strefa zasiedlenia...

Hologram 997-Bety otoczył przezroczysty zielony torus. Druga planeta mieściła się w jego granicach.

Rozległo się głośnie westchnienie, a D'mahl poczuł, że drży na całym ciele.

- Druga planeta - zarządził głos Bandoory. - Na max.

Hologram gwiazdy zniknął, a na jego miejscu pojawiła się blada, strzępiasta aureola drugiej planety, o średnicy czterokrotnie przerastającej średnicę samej planety. Planeta zdawała się być upstrzona polami brązu, zieleni, błękitu, żółci i fioletu, hologram był jednak blady i rozedrgany, jakby oglądany przez gorącą mgławicę grubości wielu mil.

Neutralny głos recytował odczyty instrumentów.

- Domniemana grawitacja - 1.2 gs, plus-minus dziesięć procent... domniemana średnia temperatura - trzydzieści trzy stopnie Celsjusza, plus-minus sześć stopni... domniemany skład atmosfery; hel, azot, tlen, jako składniki podstawowe... skład procentowy w świetle obecnych, danych nie do ustalenia... śladowe ilości dwutlenku węgla, argonu, amoniaku, pary wodnej... domniemane proporcje wody i lądu: 60:40... skład chemiczny wód oceanów w świetle obecnych danych nie do ustalenia...

D'mahl poczuł, jak napięcie całego ciała kanalizuje się poprzez struny głosowe w nieartykułowany krzyk, który zlał się z okrzykami jego towarzyszy. Usłyszał, jak jego usta głosem Bandoory mówią:

- To najlepszy opis, z jakim za mojego życia powrócił statek zwiadowczy. D'mahl siedział w amfiteatrze, a Bandoora przemawiał do Rady.

Na 997-Betę-II bezzwłocznie wysłano sondę. Za dwadzieścia dni "Beta-37" wyruszy, aby monitorować dane sondy z czoła fali. Zakładamy, że ostateczne dane będziemy w stanie dostarczyć w ciągu pół roku standardowego.

D'mahl był abstrakcyjnym punktem widzenia w czarnej przestrzeni. Ogromny mglisty hologram 997-Bety-II unosił się przed nim jak widziadło zakazanego owocu, a jednocześnie w jego umyśle zabrzmiały słowa:

- Na tym kończymy biuletyn Rady Pilotów.

Wszyscy goście w grand-salonie Jofe D'mahla poczęli natychmiast gadać, gestykulować, kręcić się w podnieceniu. Wszystkie głowy odwróciły się w stronę D'mahla, Jiz i Bandoory, D'mahl, wiedząc, do kogo adresowane są pełne zachwyty spojrzenia, poczuł palącą zazdrość.

- No i co ty na to, Jofe? - odezwała się Jiz, a w jej tonie błysnęło przewrotne ostrze złościwości.

- Niezła robota - odparł lodowatym tonem D'mahl. - Do sztuki jej daleko, ale przyznam, że to efektowny kawał propagandy.

Bandoora ponownie wydał mu się silnie urażony, jak gdyby słowa D'mahla sięgnęły jakiejś głęboko ukrytej rany.

- Ale ta planeta, Jofe! Ta planeta! Walcząc z wzbierającą falą rozdrażnienia, D'mahl zdobył się na pobłażliwie dobrotliwy uśmiech.

- Szczerze mówiąc, baczniej przyglądałem się Sidi - powiedział. - Próżnijady odkrywają planety, które świetnie wyglądają z daleka, i to o wiele częściej niż się widuje ciała tak świetnie wyglądające z bliska.

- Wiec pana zdaniem przyszłość rasy ludzkiej to temat do żartów? - odezwał się głośno Bandoora, po raz pierwszy okazując irytację.

D'mahl wyczuł czas: była 23.981. Za chwile mieli się rozpocząć "Wędrujący Holendrzy", a goście w kółko pletli tylko o szansach znalezienia choćby jednej nadającej się do życia grudki błota! D'mahl skoczył na równe nogi i wrzasnął:

- Pan za długo siedział w Wielkim Niemanic, panie Bandoora! - Samą donośnością głosu natychmiast skupił na sobie uwagę wszystkich gości. - Gdyby to mnie skazano na statek zwiadowczy w towarzystwie Sidi, miałbym w głowie coś lepszego niż gówniane planety!

- Pan jest degeneratem i egomaniakiem, panie D'mahl - zabezczał nabożnie Bandoora, wywołując -zgodnie z nadzieją D'mahla - kaskadę śmiechu.

- Przyznaje się do obu zarzutów - rzekł D'mahl. - Naturalnie, że jestem egomaniakiem - jak każdy, uważam się za jedyne istniejącego Boga. Naturalnie, że jestem degeneratem - wszyscy jesteśmy degeneratami: miękkimi protoplazmatycznymi maszynkami, których degeneracja rozpoczyna się w momencie powstania!

W mgnieniu oka D'mahl rozproszył solenny nastrój, jaki zapadł na jego bankiecie po ogłoszeniu biuletynu, a metodą ośmieszania i lekkiego przeginania pały, odzyskał prymat uwagi.

- Jesteśmy skazani na bycie tym, czym jesteśmy, tu, gdzie jesteśmy. Holendrzy na bezgranicznym oceanie przestrzeni - to my.

Po salonie poniósł się zbiorowy jęk, podszyty śmieszkami z tak obcesowego przejścia do bliskiej premiery, zwieńczony zaś powagą na myśl o tym, kim wszyscy są i gdzie ich miejsce. D'mahl dał plamę - a przynajmniej nie całkiem jeszcze doszedł do siebie - i był tego świadom, a świadomość ta rozbłysła pod jego czaszką jak czerwona nova. W tym właśnie momencie zlej karmy, godzina 24.00 weszła w czas realny i na częstotliwość czuciowej E-6...

Stoisz u stóp łagodnego zielonego wzgórza, na którego porośniętym drzewami szczycie przybijają do krzyża mężczyźni w przepasce na biodrach. Za każdym uderzeniem młota czujesz przeszywający ból w nadgarstkach. Stoisz w szerokiej alei starożytnej Jerozolimy, przyciskasz do piersi dzban z wodą - i widzisz Jezusa wleczonego na zagładę, a krtań twoją pali jego straszliwe, beznadziejne pragnienie. Znowu jesteś w Kalwarii, słyszysz stuk młota, czujesz w nadgarstkach błyskawice bólu, a w ustach smak rozżarzonych piasków.

Jesteś w nadbudówce starego drewnianego żaglowca, smakujesz słony wiatr morskiej burzy. Niebo kotłuje się i wyje pod złowróbnym zielonym księżycem. Twoja załoga miota się po pokładzie wśród przekleństw, krzyków i piskliwych jęków istot o widmowo przezroczystych ciałach, odzianych w postrzępione łachmany. Piana zalewa ci twarz, a ty

ścierasz ją wierzchem dłoni, widząc poprzez własne ciało, jak spływa ci przed oczami. W głębi krtani wzbiera ci śmiech, który w końcu kipi na zewnątrz - nazbyt głośny, nazbyt przejmujący, istne wycie szaleńca. Wznosisz do góry pieść jak z mlecznej mgły i wygrażasz niebiosom. Pękają pociski błyskawic. Jeszcze gwałtowniej potrząsasz pięścią i wdychasz sztormowy wiatr jak oddech kochanki.

Z ostatnim uderzeniem młota patrzysz ku szczytowi Kalwarii i czujesz we własnej dłoni żelazny boleć, a pod własnym ramieniem drewniane ramie krzyża. Stawiają krzyż, a wisisz na nim ty; niebo rozplywa się w ogłuszającej eksplozji światła jaśniejszego niż tysiąc słońc. I wleciesz się mozolnie przez bezkresną równinę szarego lotnego pyłu, pod niebem barwy rdzewiejącej stali. Spośród wirującego pyłu wyrastają zębate ruiny zdruzgotanych budowli, a cały świat od horyzontu po horyzont, wypełniają otępiełe szkieletowate postacie, maszerujące nie wiedzieć dokąd bez śladu nadziei. Lecz ciało twoje ma uporczywą, ołowianą siłę czegoś, co wie, że nie może umrzeć. Ból w nadgarstkach, w ustach pył. Ludzie dookoła ciebie gniją w marszu, topią się jak zegary Daliego, aż wreszcie zostajesz sam - ty, strażnik trupa planety. Zbliża się do ciebie żaglowiec - widmo, wznosząc się i opadając poprzez chłostany burzą pył.

Nadbudówka zapada się pod tobą, niebiosy wyją. Nagle otaczające księżyc chmury rozwiewają się, ukazując zimną, bezwzględną czerń usianą miriadami twardych punkcików światła, a nadbudówka zmienia się w stalowy mostek pokładowy. Stoisz w luku prymitywnego statku-pochodni pierwszej generacji. Na twoim gwiazdzistym horyzoncie widać dziesiątki innych przerobionych frachtowców asteroidalnych, ledwie kikutów pochodni z byle jak skleconymi kopułami, lukami i toroidalnymi pokładami - to dalecy solarni przodkowie Karawany.

Obracasz się i tuż przy sobie widzisz wiekowego potwora: starego, bardzo starego człowieka z twarzą porytą bliznami popromiennymi, z duszą porytą bliznami nieukojonego poczucia winy, z wiecznym lodem żarzącym się w lodowato czarnych oczach.

Stoisz w wypukłym luku statku-pochodni pierwszej generacji. Pod tobą jest Ziemia: brunatna, okopcona, zrakowaciała kula, wciąż jeszcze dysząca promieniowaniem Wojny Na Zwolnionych Obrotach. Gdzieś tam biją dzwony, a ty czujesz w dłoniach szarpanie liny dzwonu. Odwracasz głowę i widzisz chudego, diabolicznego mężczyznę o twarzy całkiem

płaskiej i oczach jak błękitne węgle. Jego twarz na chwilę rozwiewa się w mgłę i tylko szalone oczy pozostają twarde i realne.

- Witaj, Holendrze - mówisz.

- Witaj, Zbiegu.

- Nazywają mnie Tułaczem.

- To już teraz nic nie znaczy - mówi Holender. - Teraz już wszyscy ludzie są tułaczami.

- Wszyscy też jesteśmy zbiegami. Zabiliśmy żywy świat, który nas zrodził. Nawet ty i ja możemy nie doczekać ponownego spotkania. - W nadgarstkach czujesz kąsanie ćwieków, w dłoni ciężar młota. Pragnienie. Odległe bicie dzwonu.

Jesteś Holendrem patrzącym w noc wszechświata, o generacje od najbliższej gwiazdy, o stulecie od najbliższej nadziei żywego świata, o wieczność do przejścia na drugą stronę. W twojej głowie huczą grzmoty, z twoich oczu sypią się błyskawice. Mówisz:

- Pod stopy mamy jeno te pokłady, drogą naszą jest wiatr międzygwiazdny, a siłą napędową - pochodnie jądrowe. Nie wąż się skamleć przede mną, sam nigdy więcej nie miałem. - Zanosisz się dzikim, skowyczącym śmiechem szaleńca. - A teraz mam liczne towarzystwo.

Jesteś Tułaczem, patrzysz z góry na zaszlachtowaną Ziemię, słuchasz bicia dzwonu, czujesz w ręku śmiertelny ciężar młota.

- Ja także, Holendrze, ja także.

Głob ziemi przeistacza się w inny świat: brązowo-purpurowy kontynent planety pożyłkowany jak marmur smugami jezior i niebieskich wód. Ubrany w ciężki kombinezon kosmiczny, stoisz na powierzchni planety, na nagiej skale, nad brzegiem czysto-błękitnego jeziora, pod fioletowym niebem obrzeżonym koronką rzadkich, szarych chmur, jak obłok spalin za odrzutowcem. Dwunastu innych ludzi w kombinezonach pełza po spękanej powierzchni skały, jak mrówki po gnacie.

- Trup - mówisz. - Ten świat to trup.

Obok ciebie - opętańczy śmiech.

- Po co ten grobowy ton, Tułacz? Co nigdy nie żyło, nie może być trupem.

Kłęczysz na splechietku zaoranej ziemi, tuląc w zagłębieniu dłoni zwiędłe ziarenko sosny. Niebo nad tobą jest stalową płytą nabitą ćwiekami reflektorów, a masywne cylindryczne cielsko tuby pochodni kanalizuje wszechświat w zbiornik wodny pokładu rolnego. Scenografia jest prymitywna: klasyczna Karawana pierwszej generacji. Młoda dziewczyna w zielonych szortach i koszuli ziemioryców, siedzi obok ciebie, naburmuszona, na syntetycznym klepisku, gapiąc się w wypukły luk pokładu rolnego.

- Tak będę żyć, i umrę, nie zobaczywszy nigdy nieba, nigdy nie przespaceruje się po lesie - mówi dziewczyna. - Co ja tu robię? Po co to wszystko?

- Podosycasz żar ostatnich węgielków Ziemi - wypowiadasz te słowa głosem starca. - Strzeżesz ostatnich ocalałych form życia organicznego. Pewnego dnia twoje dzieci, a może dzieci twoich dzieci, zasieją te ziarna w żywej glebie nowej Ziemi.

- Wierzysz w to, naprawdę? - pyta żarliwie, zwracając ku tobie jak słońce siłą swojej młodości. - Że znajdziemy kiedyś żywą planetę?

- Trzeba wierzyć. Jeżeli stracisz wiarę, zostaniesz jedną z nas, w piekle, któreśmy sami stworzyli. My, zrodzeni na Ziemi, jesteśmy katami życia. Nasze dzieci muszą być strażnikami życia.

Dziewczyna patrzy na ciebie zimnymi, bezdennymi oczami. Tułacza, a twarz jej wędnie w pergamin starczej rozpacz.

- Dla dobra naszych krwią splamionych dusz? - pyta, po czym na nowo staje się młodą dziewczyną.

- Dla własnego dobra, dziewczyno, dla własnego dobra.

W stanie nieważkości unosisz się nad kręgiem Karawany. Statki ustawione w szyku kolistym stanowią lagunę światła w bezkresnym morzu czarnej nicości. Bliżej czoła

Karawany, czeluść międzygwiazdna kryje się za zasłoną muślinowej świetlistości: to błona wodorowa, w której połączone wachlarze pochodni statków Karawany tworzą stałą zapórę przeciwko rozrzedzonej atmosferze międzygwiazdnej. Statki Karawany są już co prawda unowocześnione i przystosowane do tworzenia błony wodorowej, ale są to nadal poprzerałane frachtowce asteroidalne - a więc najwyżej Karawana Roku 150.

Lecz wewnątrz wieńca statków przyszłość szykuje się już do odpalenia. "Latający Holender", pierwszy statek-pochodnia wybudowany w całości w Karawanie z materiałów uzyskanych i przetworzonych z materii międzygwiazdnej, dryfuje przed tobą w przestrzeni, otoczony owadnim rojem szalup oraz tłumem mężczyzn i kobiet w kombinezonach próżniowych. Czysty, gładki cylinder, oznaczony pierścieniami okien pokładów, wygląda wręcz niestosownie wśród rupieciami statków-pochodni pierwszej generacji - jak intruz z przyszłości.

Wtem z rury wydechowej "Holendra" dobywa się eteryczny purpurowy ogień i pierwszy statek zrodzony w Karawanie budzi się do życia.

Obok "Latającego Holendra" pojawia się drugi statek-pochodnia, po nim trzeci, i jeszcze jeden, i jeszcze jeden, aż w końcu liczba nowych statków, powstałych w Karawanie, przekracza liczbę zmodyfikowanych frachtowców asteroidalnych, a średnica błony wodorowej zwiększa się niemal dwukrotnie. Powierzchnia wewnętrzna Karawany jest teraz przestronnym dziedzińcem dla statków-pochodni, szalup, ludzi w kombinezonach i roztańczonych światła cywilizacji.

Stoisz na rampie lustrując z góry pokład rolny: rzadki laszek małych sosenek i dębów, łąchy zielonej trawy, kilka grządek kwiatów. Nad tobą widnieje aureola błękitnego ziemskiego nieba z barankami białych obłoków. Ziemioryjcy w tradycyjnych zielonych strojach krążą z namaszczeniem po całym pokładzie, pielęgnując delikatne formy życia, mierząc ich wzrost. Twoje nozdrza przepełnia kadzidlana woń świętości.

Siedzisz przy okrągłym symul-marmurowym stoliku na tarasie kawiarni w połowie wysokości kopuły zewnętrznej, na pokładzie rozrywki, popijając ze szklanki symul-burgunda. Posadzkę w dole otacza pierścień sklepów i restauracji, promieniście połączonych pasażami w wewnętrzny pierścień sklepów okalających centralny trzon pochodni. Każdy powstały w rezultacie tego podziału wycinek pokładu ma inny kolor i każdy wabi inną formą rozrywki:



basen, muszla koncertowa, parkiet zero-grawitacyjnej dyskoteki, wesołe miasteczko, mglisty labirynt. Gwar narasta. Gra muzyka.

Naprzeciwko ciebie siedzi Tułacz w zielonym stroju ziemioryjcy i z gorzko pogardliwą miną.

- Patrz na nich - mówi. - Zbliżamy się do nowej planety, a oni nawet nie pamiętają, gdzie są.

- A gdzie są, Zbiegu?

- Któż miałby to wiedzieć lepiej niż ty, Holendrze? - odpowiada on, a ludzie w dole stają się przezroczyści, kopuły znikają, ty zaś patrzysz na dziwotwory tańczące po zawieszanej w czeluści międzygwiazdnej platformie. W całym tym bezmiarze nie ma już nie żywego, nic więcej się nie porusza.

W gardle łaskocze cię szaleńczy śmiech.

Pojawia się jakaś planeta, z początku nie większa od czubka szpilki, stopniowo rosnąca w łaciatą zielono-brązową kulę z barankami białych obłoków, aż wreszcie stajesz na jej powierzchni w grupie odzianych w kombinezony mężczyzn, z trudem wlokących się z powrotem do macierzystej szalupy. Twarda, brunatna skała, pożyłkowana pasmami zielonkawych minerałów, pod granatowo-czarnym niebem upstrzonym pastelowymi chmurami. Jesteś z powrotem na tarasie, patrzysz na widma tańczące w bezkresnej galaktycznej nocy.

- Co powiesz, wielki admirał, kiedy pierzchnie wszelka nadzieja? - pyta Tułacz. Jesteś na dole, wśród widm, wyrosnięty na dziesięć stóp; jesteś olbrzymem, który wygraża pięścią czerni i martwej planecie, który wyciem rzuca wyzwanie wiecznej nocy.

- Żeglować dalej! Żeglować dalej! Coraz dalej!

- Dosyć statków! Dosyć statków! Ziemia albo śmierć! - Maszerujesz na czele niewielkiej armii mężczyzn i kobiet w zielonych strojach ziemioryjców, która z dolnego pokładu wdziera się na pokład rozrywki, dzierżąc krzyże owinięte symul-liśćmi winnej latorośli. Każdy okrzyk wbija ci gwoździe w nadgarstki.

Prowadzisz karnawałowy pochód widm w szalony taniec, poprzez pokład rolny, tratując kruche załączki życia, siejąc złote i srebrne confetti, olśniewacze, garście klejnotów - łup z podróży pochodni przez plankton międzygwiazdny.

Winda zjeżdżasz w dół przez kolejne pokłady statku. Pokłady rozrywki, pokłady mieszkalne, pokłady produkcyjne, pokłady filtracyjne - wszystkie z wyjątkiem sterowniczego i wartowniczego - pokryte są ordynarnym syntetycznym klepiskiem i przekształcone w tereny symul-rolne. Plony są rachityczne, w powietrzu unosi się chemiczny fetor, powierzchnie metalowe zaczynają rdzewieć, a ludzie w zieleni mają przygarbione plecy i zapadnięte oczy doszczętnie opętanych. Wszędzie widać oplecione winoroślą krzyże.

Winda innego statku unosi cię do góry. Tutaj aparatura jest w dobrym stanie, powietrze czyste, kopuły lśniące, a pokłady skąpane w świetle, gwarze i przepychu symul-rubinu, -szmaragdu, - szafiru i - diamentu. Ludzie to rajskie ptaki w lustrzanych strojach, symul-aksamitach i jedwabiach o luksusowych odcieniach i wzorach, strojni w pióra, skóry, złoto, srebro i mosiądz. Zdają się jednak poruszać w jakimś nienaturalnym rytmie, jakby tańczyli szalonego jiga pod melodie widmowego grajka, a ciała ich mają przezroczystość niespolaryzowanego plexi.

Unosisz się nad samym centrum Karawany: za tobą statki zrodzone w Karawanie tworzą półkolisty diadem o świetlistości klejnotu. Przed tobą dryfuje "Tułacz", a za nim procesja starych zmodyfikowanych frachtowców asteroidalnych, rozklekotanych do cna, przez których luki prześwieca blada zieloność.

- Twoje ogrody umierają, Tułaczu.

- Twoje nigdy nie znały życia, Holendrze - odpowiada on, a ty poprzez własne szkliste ciało, poprzez statki-widma za plecami, widzisz gwiazdy i próżnie.

W przestrzeni między wami pojawiają się dwie srebrzyste opaski na głowę, czemu towarzyszą fanfary i złota aureola światła. Duże, toporne, nie nadające się do noszenia stale - są to pierwsze transeptory, prototypy chirurgicznie wszczepianego czujnika. Jarzą się i pulsują jak żywe stworzenia, jak dary nie istniejących bóstw.

Ujmujesz jedną opaską śmiejesz się, wkładasz ją na głowę Tułacza:

- Przyjmij te obręcz na dowód mojej miłości.

Bez wahania Tułacz umieszcza drugą obręcz na twojej głowie.

- Oto moja korona cierniowa, noś ją - mówi.

Stoisz na mostku statku-pochodni, obok ciebie widmowy Holender. Przez plexi gwiazdy wyglądają jak milionowy rój ożywionych klejnotów, których wspaniałość odbija się w światłach Karawany.

Kłęczysz pośród maleńkich sosenek na pokładzie rolnym, obok Tułacza, a sosenki wyrastają w las sięgający aż po błękit niebios Ziemi utraconej, ty zaś czujesz w nadgarstkach ból po ćwiekach, słyszysz bicie odległego dzwonu, czujesz smutek ciała i kadzidlana woń niepowetowanej straty.

Unosisz się windą do góry, trzymasz za rękę Holendra, a mijając jeden po drugim skrzące się klejnotami, rozjarzone pokłady, słyszysz pomruk silników i odgłosy ludzkiego rozbawienia, widzisz kryształowe drzewa wyrastające wysoko z metalowych gleb pokładów. Ciała widmowych postaci zestalają się, dłoń Holendra staje się różowa i namacalna. Kiedy zagładasz mu w oczy, patrzą na ciebie twoje własne oczy tułacza, w których ból miesza się z dziką radością.

Płyniesz w powietrzu nad samym centrum Karawany, przy tobie Tułacz; otaczające was statki zmieniają konfiguracje w wyrafinowanym balecie - statki zrodzone w Karawanie i przeróbki frachtowców asteroidalnych reintegrują Karawanę w setkach rytualnych pas de deux.

Tunelem zjeżdżasz w dół poprzez pokłady statku ziemioryjców, widzisz, jak ich zielone mundurki przeistaczają się w rajskie pióra noszone dotąd na statkach powstałych w Karawanie, widzisz jak z metalu znika rdza, widzisz kryształowe altanki, migotliwe labirynty i bulgocące potoki, dzięki którym nagrobki smutku przemieniają się w ogrody radości.

I siedzisz naprzeciwko Holendra przy okrągłym symul-marmurowym stoliku na tarasie kawiarni, w połowie wysokości kopuły pokładu rozrywki. Centralny trzon pochodni jest gęsto obrośnięty winoroślą. Basen, muszla koncertowa, migotliwe labirynty, parkiety do tańca i karuzela, rozproszone są teraz po zielonej bujnej łące, w cieniu sosen i dębów. Kopuły

i górne pokłady rozwiewają się, a ogrodowy plac pozostaje wszystkim, co jest, sam, obnażony, jako maleńki krążek życia zagubiony w bezkresie wiecznej próżni.

- Tułamy się po mrokach duszy - rzecze Holender. - Może stoimy na straży jedyne go życia, jakie w ogóle istniało i istnieje.

- Latający Holendrzy, tułacze bez ziemi; Czyż nie ma innych bogów poza nimi?

A teraz jesteś odległym punktem widzenia na krążek życia, który dryfuje w bezmiarze przestrzeni, widzisz, jak Karawana oddala się, aż w końcu pozostaje z niej jedynie jeszcze jeden abstrakcyjny punkt świetlny na tle galaktycznych ciemności. Na bezkresnym gwiazdzistym polu bladym ogniem maluje się napis:

WĘDRUJĄCY HOLENDRZY Autor: Jofe D'mahl

W gwarze, który się poniósł po grand-salonie Jofe D'mahl pobrzmiwała wyraźna nutka grzeczności. Aplauz utrzymywał się stosownie długo (lecz nie dłużej), po czym wszyscy na stojąco, wrócili do swoich rozmów, jak stado wielobarwnych ptaków ćwierkających po lesie z drogich kamieni.

- Wyraźnie widać było zarysy kontynentów, a te zielone płaszczyzny - to może być roślinność...

- Hel, no tak, ale czy zdołamy oddychać przy tej ilości helu?

Stojąc pomiędzy Jiz Rumoku a Bandoorą, Jofe D'mahl znalazł się w irytującej roli punktu poza centrum uwagi. Oczy gości co chwila popatrywały chyłkiem w ich stronę, szukając Bandoory, lecz żadne nie ośmieliły się zatrzymać na dłużej, gdyż obok próżnijada stał Jofe D'mahl, bliski wybuchu, w oczach którego płonął żar zdolny stopić plexi.

Sam Bandoora za to patrzył prosto na niego i D'mahl poczuł nieznaną sobie ośrodek obcego ciepła, pulsujący ku niemu z głębi nieprzeniknionych oczu tamtego.

- Przykro mi, że Biuletyn Pilotów osłabił sukces pańskiej premiery - powiedział Bandoorą.

- Doprawdy? - syknął D'mahl - A co każe panu sądzić, że pański drogocenny bełkot jest aż tak ważny? - dorzucił, już głośniejszym głosem. Teraz już goście nie mieli powodu do odwracania wzroku: D'mahl sam dopraszał się uwagi. - Wy, łachmyty, oczekujecie od nas zachowań godnych psów Pawłowa, ilekroć wyskoczycie z nowym gównem, które wygląda na możliwe do zasiedlenia. Wszystko dobrze, dopóki nie zbliżycie się na taką odległość do swojego odkrycia, żeby na całego poczuć trupi fetor gazów i nagiej skały. Twój bełkot, Bandoora, jest jak nova, która żyje pół roku. Sztuka jest wieczna.

- Wieczność może trwać dłużej niż się panu wydaje, D'mahl - odparł spokojnie Bandoora. - Poza tym, w zupełności się z panem zgadzam. Bardzo się wzruszyłem oglądając "Wędrujących Holendrów". - Czyżby to łzy zamgliły jego wzrok? - Być może bardziej, niż jest pan to sobie w stanie wyobrazić.

Panowała absolutna cisza, cała uwaga gości skupiła się na niewielkiej psychodramie. Co śmielsi zaczęli przysuwać się bliżej. D'mahl stwierdził, że nie potrafi określić wektora Bandoory: w tych minizawodach jego nie było, zdaje się, żadnych wspólnych reguł.

- Chciałbym przeprosić za zakłócenie premierowego wyczucia wybitnego dzieła sztuki - rzekł Bandoora. - Dam panu szansę zrobienia największego sensu w pańskiej karierze, D'mahl. - Na jego usta wypełził nikły uśmiešek, oczy były jednak tak poważne, że niemal komiczne.

- Co każe panu mniemać, że pan właśnie może mnie czegoś nauczyć na temat sensosów? - zapytał. ironicznie D'mahl. - Może za chwile poprosi mnie pan o wygłoszenie wykładu z próznośsania? - po grand-salonie przeleciał zbiorowy chichot.

- A może już go pan wygłosił, panie D'mahl - rzekł Bandoora. Odwrócił się i ruszył przez kolorowe mgły, wśród kryształowych drzew, w stronę przezroczystej kopuły z plexi osłaniającej wielki taras. Obejrzał się przez ramię i poprzez tłum przeszył D'mahla wzrokiem. - Nie znam się na sensosach, ale mogę pokazać panu rzeczywistość, wobec której wszystko, czego pan w życiu doświadczył, zblednie do zera. Tę rzeczywistość proszę zarejestrować na taśmie, jeśli się pan ośmieli. Wszyscy wstrzymali oddech.

- Ja - ośmieli! - eksplodował D'mahl. - Kogo ty chcesz nastraszyć swoim tanim spektaklem, Bandoora? Jestem Jofe D'mahl, jestem największym artystą swoich czasów, jeżdżę na pochodni własnego ego. Ośmieli! A ty myślisz, że co ja mam innego do roboty,

jak się ośmielać, ty nędzny robaku? Czy nie dotarło do ciebie nic z tego, czego przed chwilą doświadczyłeś?

Bandoora dojrzał do ściany kopuły i odwrócił się; jego sylwetka rysowała się wyraźnie na tle gwiazdzistej czerni, z rozjarzonym wieńcem statków w dalekim tle. Jego oczy zdawały się czerpać z owej czerni butną energię.

- To nie teatr, D'mahl - powiedział. - Żadnych komputerowych czujników, żadnych sensosów, żadnych iluzji. Nic z tych rzeczy; którymi wy tutaj żyjecie. Rzeczywistość, D'mahl, Prawda. Tam. Naga próżnia.

Obrócił się profilem i wyciągnął prawe ramię, jakby chciał nim objąć ciemności.

- Leć z nami "Bela-37", D'mahl. Leć z obnażonym umysłem i niczym więcej, tam, gdzie nie ma nic tylko ty sam i wieczna próżnia. "Wędrujący Holendrzy" celnie ją ukazują - jak na senso człowieka, który tworzy symule. A co zrobiłbyś z własnej taśmy sensorycznej próżni - gdybyś odważył się ją zarejestrować przez własne, żywe ciało? Czy ośmielisz się, D'mahl, czy się ośmielisz stanąć własną nagą duszą wobec prawdy próżni?

- Jofe...

D'mahl zniecierpliwionym gestem odsunął Jiz.

- Tworzy symule! - ryknął kipiąc z wściekłości. - Czy się ośmielę! - Rzeczywistość grand-salonu, nawet policzek wymierzony mu na oczach gości, szczyły w białym ogniu wyzwania, wobec rękawicy, którą Bandoora cisnął pod stopy jego duszy. Ja mogę się z tym zmierzyć, a ty? Czy naprawdę zdołasz wyciosać żywą sztukę z martwej próżni, nie z metafory nicości, lecz z samej nicości, w materii, w czasie realnym? A może ty symulujesz? Może jesteś hochsztaplerem?

- Mówiłem ci już, Bandoora - syknął przez kłębny wściekłości - że jedyne, co mam do roboty, to ośmielać się.

Goście wydali głośne oooch!, Jiz pokręciła głową, Bandoora skłonił się lekko i uśmiechnął. Jofe D'mahl poczuł jak przez grand-salon i przez niego samego przelatują fale przemiany, lecz ich charakter i wektor wykraczały poza zdolność pojmowania jego umysłu.

## Rozdział II

Przeskakując z "Excelsiora" na "Brigadoon" przez zatłoczony sektor centralny karawany, Jofe D'mahl doznał wrażenia, że balon emocji, w którym poruszał się od bankietu z okazji premiery, był bardziej namacalny niż przezroczyste, migotliwe ściany pęcherza próżniowego, w którym obecnie się znajdował. Drganie powłoki ścian widoczne było tylko jako nikły parawan pomiędzy twardą próżnią kosmosu a kulą powietrza zawartego wewnątrz pęcherza, za to odbiór jego osoby widać było na wszystkich twarzach, które mijał. Tak często wyczuwali go ludzie, których nie znał ani przez senso, ani cieleśnie, że zmuszony był w końcu postąpić o 180° wobec własnego wektora: wczuć w swoje banki program osłaniający, który odrzucał sygnały wszystkich osób spoza możliwej do ogarnięcia listy akceptowanych. D'mahl był bez wątpienia bieżącą nową Karawany.

Nawet tutaj, pośród wydętych pęcherzy pływających od statku do statku, czy też po prostu wałęsających się po przestrzeni, D'mahl czuł, że błyszczy jaśniej niż cały wieniec statków-pochodni, jaśniej nawet niż sama błona wodorowa, gdyż większość ludzi, których trajektorie biegły w zasięgu jego wzroku, witała go ukłonami lub pełnymi szacunku spojrzeniami.

To niemal w pełni wynagrodziło mu zawód, płynący stąd, że przyczyną rozbłyśnięcia jego nowej nie byli "Wędrujący Holendrzy", ale publicznie ogłoszona decyzja o śmiałym zamiarze spędzenia sześciu standardowych miesięcy z próżniodadami, z dala od Karawany, z dala od kontaktów czuciowych z bankiem, w samotni własnego umysłu i ciała, jak prymitywny człowiek przedczujnikowy. Podobny efekt osiągnął swego czasu Walker Nan Pei, ogłaszając z miesięcznym wyprzedzeniem, że publicznie popełni samobójstwo, z tym że Walker Nan Pei na zawsze zdmuchnął swoją pochodnię wycofując się z obietnicy. D'mahl wiedział, że teraz już nie wolno mu się wycofać.

Minął "Paradisio", przyjął gesty powitania od pasażerów mijającej go szalupy międzystatkowej, okrążył "Ginzę", zduślił polaryzator-g i lekko, na czubkach palców, wylądował na podeście głównego wejścia na "Brigadoon". Szybko przekroczył rubinowy pomost, przeszedł przez zasłonę rozrzedzonego powietrza, spuścił powietrze ze swojego pęcherza próżniowego i najbliższym tunelem w dół spuścił się do galerii Jiz Rumoku na pokładzie dwunastym, ciekaw co tam ujrzy tym razem.

Dzięki aurze Jiz "Brigadoon" był w Karawanie statkiem-kameleonem; całe pokłady przerabiano tu od A do Z równie często jak przeciętny obywatel Karawany przemeblowywał własne mieszkanie. "Brigadoon" był dla reszty Karawany źródłem modnych strojów i olśniewaczy, tak jak dla poszczególnych pokładów statku Jiz takim źródłem była jej galeria. Ostatnio zabrakło raptem pięćdziesięciu głosów, aby przeszedł postulat zmiany nazwy, statku na "Żywe Srebro".

Mijając po drodze w dół wszystkie pokłady, D'mahl dostrzegł więcej zmian niż potrafił zidentyfikować bez wczucia się do banku po obrazy minionych wersji - a od jego ostatniej wizyty na "Brigadoonie" minął najwyżej standardowy miesiąc. Pokład trzeci był niegdyś dzielnicą mieszkalną wznoszącą się tarasowo wokół rygorystycznie utrzymanego alpinarium - teraz była to laguna, po której pływały domy-łódzie. Pokład szósty, dawniej symula starożytnego Tivoli, przeistoczył się w tereny rozrywkowe usytuowane na zawieszonych na różnych poziomach płytach grawitacyjnych, ponad ogromnym, wirującym w zwolnionym tempie, lejem syropowatej, tęczowo zabarwionej cieczy. Pokład dziesiąty, dawniej babiloński labirynt domów mieszkalnych porośnięty girlandą winorośli, stał się miniaturową pustynią uformowanych statycznie złotych i srebrnych drobnopylistych diun, wplecionych jak koronki miedzy baśniowy filigran domów-pieczar. Najwyraźniej tematem miesiąca było przenikanie.

Pokład dwunasty stanowił konfekcje wielobarwnych energii. Ścianami sklepów i restauracji były dymne rozedrgane ekrany w dziesiątkach subtelnych odcieni, a plac centralny wokół trzonu pochodni był pulsującą zmianami łąką wędrujących leniwie miniaturowych pufo-kulek w kolorach błękitu, zieleni, purpury, żółci i karmazynu. Sam trzon pochodni miał postać cylindrycznego lustra, a większość ludzi nosiła lustrzane stroje, peleryny z mgły, lub świetlne opończe. Człowiek czuł się jak w środku tęczy i D'mahl, w swoich stosunkowo tradycyjnych niebieskich spodniach, z nagim torsem i plecami okrytymi peleryną ze złotogłowiu, doznał nagłego poczucia desynchronizacji.

Galeria Jiz Rumoku mieściła się za szafirowo-błękitnym wodospadem, opadającym kaskadą z połowy wysokości kopuły do basenu mgieł, skąd rozlewał się po całej powierzchni pokładu. D'mahl ruszył w bród, prawie pewien, że się zamoczy. Na szczęście okazało się, że wodospad jest hologramem - ale z Jiz wszystko było możliwe.



- Powitajcie nas, wy, którzy idziecie na śmierć - powiedziała Jiz. Leżała w błękitno-różowej pufo-kuli, naga, z wyjątkiem olśniewających zórz szerokiego widma światła, które skromnie przesłaniały jej piersi i biodra. Mniej więcej pośrodku galerii, będącej teraz kolistą areną otoczoną drżącym ekranem zagęszczonego powietrza, stale rozsiewającym zmiany spektralne, szybowwała leniwie po torze elipsy różowa pufo-kula. Za strop służył hologram kłębow pomarańczowego ognia, za podłogę zaś lustro jakiejś miękkiej substancji.

- Lepiej po ogniu niż po lodzie - rzekł D'mahl. - To moje motto.

Przeczuli się wzajemnie: D'mahl, leżąc w pufo-kuli doznał elektryzującej jasności, kiedy ciało jego przemierzyło galerię i ucałowało usta Jiz.

- Próznościanie niezupełnie odpowiada mojemu pojęciu ognia, Jofe - odezwała się Jiz, kiedy równocześnie wyłączyli kontakt.

- A to tutaj, odpowiada? - zakreślił łuk ręką.

Po pozornie przypadkowych trajektoriach, na terenie całej galerii, dryfowały dziesiątki tafli o rozmiarach od kilku centymetrów do dobrych trzech metrów kwadratowych. Były tam rozmaite obiekty i efekty energetyczne: od modelowanej statycznie biżuterii z pyłu drogich kamieni, po pudła olśniewaczy, peleryny z mgły, przyssawki, holo-szyby, przeważnie abstrakcyjne, oraz kilka ogromnych i zaskakujących rzeźb w płomieniu. Gabloty wykonane były z przezroczystego plexi, a tylko nieliczne z pomieszczonych w nich "obektów" stworzono z czystej materii.

- Mam czucie, że materia przejadła się ludziom na jakiś czas - oświadczyła Jiz wstając z pufo-kuli. - To w końcu zastygła energia, nic więcej. Nadchodząca nova to flux - surowiec ekranowy z energomaterii. Oddaje ducha pochodni, nie sądzisz? Energia, protony, elektrony, neutrony i pył pierwiastków ciężkich z medium międzygwiazdowego, przekształcony w co nam się żywnie spodoba. Tematem tej ekspozycji jest stan transmutacji.

- Ja tam lubię mieć w pobliżu przynajmniej parę rzeczy o twardej powierzchni - odparł z niejakim powątpiewaniem D'mahl.

- Zobaczysz, nie minie standardowy miesiąc, a i w twoim mieszkaniu zapanuje flux. Zsynchronizujesz się.

- Jeszcze czego, ty specjalistko od jutrzejszych przebojów - zachnął się przekornie D'mahl, całując ją w same usta. - Wszyscy polecą na transmutację, a ja polecę w zimną, twardą próżnię, gdzie energia i materia dobrze znają swoje miejsca i bezwzględnie się ich trzymają.

Jiz nachmurzyła się, dotknęła jego policzka.

- Naprawdę to zrobisz, tak? - zapytała. - Miesiące zamknięcia na jakimś paskudnym statku zwiadowczym, bez kontaktów, bez kochania, bez najmniejszej zmiany...

- Może przynajmniej nie bez kochania - wtrącił beztrosko D'mahl, myśląc o Sidi. Widział jednak, że Jiz naprawdę się przejmuje. - O co chodzi, Jiz?

- Co ty tak naprawdę wiesz o próżniojadach?

- A co tu wiedzieć? Obsługują statki zwiadowcze. Poszukują planet nadających się do zasiedlenia. Prowadzą wyjątkowo nieciekawą tryb życia.

- Kontaktowałeś na ich temat?

- Nie. Zbieram, oczywiście, senso-zapis, ale, ponieważ za główny punkt widzenia będę miał samego siebie, nie chce mieć żadnych sensorycznych uprzedzeń.

- Bo ja skontaktowałem podstawowe dane o sensohistorii próżniojadów, Jofe. W bankach nic poza tym nie ma. Nie daję ci to do myślenia?

- A powinno?

- Skontaktuj, Jofe.

- Mówiłem ci przecież...

- Wiem, wiem, żadnych uprzedzeń sensorycznych. Niemniej proszę cię, skontaktuj. Sama to zrobiłam i uważam, że ty też powinienes.

Jej oczy były bezwzględne, nieruchome, a usta stwardniały w ideogram determinacji. Kiedy Jiz przybierała ten wyraz twarzy, D'mahl uznawał na ogół za roztropne podążyc za jej wektorem, choćby tylko ze względu na oszczędność energii.

- Zgoda - powiedział. - Dla ciebie zbrukam swą dziewiczą świadomość obmierzłymi faktami. Prózniojady, historia ogólna - zadysponował.

Znalazł się pod kopułą obserwacyjną, patrząc jak statek zwiadowczy zmierza ku błonie wodorowej. Zwiadowca był, z grubsza rzecz ujmując, cylindrem o rozmiarach statku-pochodni z jednym niedużym pokładem toroidalnym pośrodku konstrukcji i kopułą mostka w okolicy miejsca poboru energii.

- Rok Karawany 301 - obwieścił beznamiętny głos. - Karawana wystrzeliwuje pierwszy statek zwiadowczy. Obsadzony załogą pięciu ochotników, statek napędzany jest pełnowymiarową pochodnią jądrową, jakkolwiek masa jego stanowi zaledwie jedną dziesiątą masy konwencjonalnego statku-pochodni. Dzięki wykorzystaniu siły bezwładności Karawany, osiągać może prędkość końcową w okolicach 0,87 światła.

D'mahl jako zewnętrzny obserwator z odległej przestrzeni patrzył jak gnany pochodnią statek zwiadowczy prześciga Karawanę. Za nim drugi statek, i jeszcze jeden, i jeszcze jeden, wreszcie tak wiele, że D'hmal przestał nadążać z liczeniem. Przebiły się pochodniami przez błonę wodorową z dala od czoła Karawany, obierając kursy pod różnymi kątami, od dziesięciu do trzydziestu stopni, w formacji stożka. Wycinek przestrzeni zamknięty wewnątrz stożka rozjarzył się zielenią, a głos powiedział:

- W roku 402 liczba statków wynosiła czterdzieści siedem, uregulowano też statycznie ciągły system poszukiwań. Pracując w zasięgu pełnego roku świetlnego od Karawany i prowadząc dalekosiężne obserwacje systemów słonecznych z rozbudowanego stożka pola widzenia, system statków zwiadowczych zmaksymalizował liczbę obserwacji planet potencjalnie nadających się do zasiedlania na określonej jednostkę czasu.

Teraz D'mahl siedział na mostku statku zwiadowczego, wyglądając w przestrzeń przez ekran plexi. Obok niego przy konsolach z aparaturą krzątali się dwaj mężczyźni i kobieta, w niebieskich strojach prózniojadów.

- W roku 508 wprowadzono kolejną innowację - Przed statek zwiadowczy lekko wyskoczył trzmielowaty pocisk, sam statek zaś począł zawracać z kursu. - Statki zwiadowcze wysyłają sondy na planety potencjalnie nadające się do zasiedlenia, same zaś powracają do Karawany.

D'mahl, jako punkt widzenia w przestrzeni, oglądał stylizowaną dioramę Karawany, statku zwiadowczego, sondy i systemu słonecznego. Statek zwiadowczy puł pochodnią w stronę. Karawany, sonda zaś orbitowała wokół planety, wysyłając ku Karawanie czerwoną falę czołową informacji. Statek zwiadowczy dotarł do Karawany, która następnie zmieniła swój wektor w kierunku systemu słonecznego sondy.

Następnie zwiadowca znów opuścił Karawanę aby monitorować nadawaną z sondy falę informacyjną.

- Dzięki odwracaniu kursu Karawany na obserwowany system, a następnie powrotowi do monitorowania fali nadchodzącej z sondy, nasz w pełni zewoluowany system zwiadu planetarnego maksymalizuje obecnie liczbę systemów słonecznych badanych w określonej jednostce czasu, minimalizując zarazem czas zdawania raportu z każdego badanego systemu słonecznego o wysokich parametrach prawdopodobieństwa.

Na pokładzie statku zwiadowczego D'mahl grał w zero-grawitacyjnego tenisa z pociągającą kobietą-próżniojadem. Był prostym kwatremistrzem, dziurkującym zamówienia na posiłki. Leżał na grawipłycie nastawionej na około 25 g w małej, jednoosobowej kajucie sypialnej. Jako kobieta-próżniojad kochał się w stanie zero-grawitacji z wysokim, silnym mężczyzną.

- Pomieszczenia dla załogi, jakkolwiek wygodne i zapewniające odpowiednie warunki dla utrzymania zdrowia fizycznego i psychicznego, stanowią dla członków załogi pewną niedogodność z uwagi na ograniczenie przestrzeni - ciągnął beznamiętny głos. - Banki czucia są znacznie ograniczone, a dostęp do centralnych banków karawany - niemożliwy. Załogi zwiadowcze muszą się zadowolić prostymi cielesnymi rozrywkami. Wszyscy obywatele Karawany mają dług wdzięczności wobec tych ofiarnych ochotników.

Jofe D'mahl spojrział w oczy Jiz Rumoku. Wzruszył ramionami.

- No i? - zapytał. - Wszystko to już wiedziałem.

- Właśnie nic, Jofe, kompletnie nic! Próżniojady przebywają tam cielesnie od ponad połowy tysiąclecia, prawie całe życie spędzają w odłączeniu czuciowym od Karawany, od wszystkiego, co sprawia, że

jedyna żyjąca cywilizacja ludzka jest tym, czym jest. Jaki jest ich wektor karmiczny? Co mają pod czaszką? Dlaczego, przede wszystkim, nazywa się ich próznojadami? Dlaczego w bankach nie ma nic poza tą ogólną taśmą historyczną?

- Najprawdopodobniej dlatego, że nikt się tam z nimi nigdy nie wybrał, żeby zrobić prawdziwe senso - odparł D'mahl. - A z pewnością nie są to osobniki zdolne do samodzielnego wyprodukowania takiego senso. Dlatego właśnie ja się tam wybieram, Jiz. Uważam, że Bandoora miał rację: należy stworzyć poza-senso próznojadów, i kto wie, czy to nie jest jedyny dziewiczy temat, jaki nam pozostał.

Napięcie znikło częściowo z twarzy Jiz.

- Ego, naturalnie, nie ma tu nic do rzeczy - odezwała się.

- Ego, naturalnie, ma tu wszystko do rzeczy - skorygował D'mahl. Przyłożyła rękę do jego policzka.

- Bądź ostrożny, Jofe - powiedziała cicho.

Wzruszony D'mahl nakrył jej dłoń swoją dłonią i pocałował ją delikatnie w usta, czując się ni stąd, ni zowąd jak jakiś przykuty do Ziemi prymityw.

- A czego tu się bać? - odpowiedział z równą czułością.

- Nie wiem, Jofe. I nie wiem, jak się tego dowiedzieć. To mnie właśnie przeraża.

\*

Unoszony przez szalupę na "Bele-37", Jofe D'mahl doświadczał narastającego bezwektorowego oczekiwania. Srebrzysty cylinder "Beli-37" połyskiwał na jutrzniowym tle błony wodorowej, wisząc nad Jofem jak miecz Damoklesa. Pod nim, statki Karawany oddalały się, tworząc najpierw wypełniający horyzont pejzaż światła i błysków, następnie zaś dysk ludzkiego ciepła odcinający się ostrym konturem od zimnej czerni nocy. Pomyślał, że obywatele Karawany rzadko zapuszczają się aż tak wysoko, na parking statków zwiadowczych, w pobliże błony oddzielającej Karawanę od próżni prawdziwej. Nietrudno było odgadnąć powód.

- Kawał drogi, co? - mruknął pod nosem. Pilot szalupy kiwnął głową.

- Mało kto bywa tu na górze - powiedział. - Przeważnie tylko próznojady i załogi remontowe. Ja od czasu do czasu wybieram się tutaj sam, żeby poczuć ciśnienie próżni spoza błony i spojrzeć w dół na to wszystko jak bóg z Olimpu - zaśmiał się oschle. - Może przewiozłem o jednego próznojada za dużo...

D'mahl wzdrygnął się nie wiedzieć czemu i poczuł dziką tęsknotę, za komunią kontaktów czuciowych, za oszalamiającym bogactwem czasu, przestrzeni, ciał i realiów, od których miał się lada chwila odizolować po raz pierwszy w życiu. Czucie to nasze życiodajne źródło, pomyślał. Któż to wie lepiej ode mnie?

- Jiz Rumoku - zadysponował, i znalazł się w jej ciele, stojącym w galerii obok rzeźby w płomieniu w towarzystwie zwalistego czarnego mężczyzny w surowym w swej prostocie garniturze z zielonego welwetu.

- Cześć, Jiz - powiedział jej strunami głosowymi. - Cześć i do widzenia.

Wycofał swoje czucie z jej ciała, a ona podążyła w niego, wysoko ponad Karawanę.

- Cześć, Jofe. To naprawdę strasznie wysoko. - Ucałowała jego rękę jego ustami. - Uważaj na siebie - odezwał się jego głos. Potem Jiz przerwała kontakt i D'mahl został sam we własnym ciele. Szalupa zaczęła wytracać prędkość i zahamowała przy głównym pokładzie toroidalnym "Beli-37".

- Jesteśmy - oznajmił pilot szalupy. - Niech pan wchodzi przez główną zasłonę drgań.

D'mahl zasalutował mu ironicznie, napompował pęcherz próżniowy, złapał bagaż i senso-rejestrator, a następnie przeskoczył kilka metrów przestrzeni na główny podest wejściowy "Beli-37". Przeszedłszy przez zasłonę drgań, znalazł się ku swemu zdumieniu w ciasnym, komórkowatym pomieszczeniu, w którym nie było widać tunelu spustowego. Okrągłe drzwi w przeciwległej ścianie działowej rozwarły się nagle i do pomieszczenia wszedł wysoki, blady próznojad.

- Nazywam się Ban Nyborg, panie D'mahl - oświadczył. Zaśmiał się raczej niewesoło. - To jest śluza powietrzna - wyjaśnił. - Urządzenie zabezpieczające.

D'mahl automatycznie wyczuł definicje nowego określenia: dwudrzwiowa komora umożliwiająca wyjście i wejście na statek, osłonięta błoną drgań.

- Zabawne - orzekł, przechodząc za Nyborgiem przez otwarte drzwi.

- Nawet po utracie napędu i błony drgań, w ten sposób zatrzymujemy powietrze wewnątrz statku - wyjaśnił Nyborg, wiedząc D'mahla obskurnym, pastelowo-niebieskim korytarzem. - Pasaż radialny - objaśnił. - Prowadzi do korytarza okrążającego trzon pochodni. Takich promieni jest jeszcze pięć, tunel na mostek i z powrotem - i to już cały statek.

Dotarli do wymalowanego na spłowieły błękit i żółć korytarza okalającego trzon pochodni, przeszli nim 60 stopni, mijając konsoly z aparaturą i pomarańczowy korytarz radialny, a potem jeszcze 60 stopni i zielonym pasażem radialnym do niemalowanych materialnych drzwi.

Nyborg otworzył drzwi i D'mahl wkroczył do ponurej klitki. - Znalazł w niej grawi-  
płytę, niebieski fotel pneumatyczny; wysoką symul-orzechową komodę, wyleniały czerwony dywan, a za otwartymi drzwiami - urządzenia sanitarne. Sufit był ciemnoszary, a trzy ściany szaro-beżowe. Czwartą ścianą był hologram czeluści międzygwiazdnej: punkciki gwiazd i ziejąca czerń - właśnie na wprost tej ściany umieszczono grawi-płytę.

- Kabina Bandoory - wyjaśnił Nyborg. - Dzieli ją z Sidi.

- Bomba - wycedził D'mahl. - Jestem głęboko wzruszony.

- Statek posiada trzy częstotliwości czuciowe: biblioteka, porozumiewanie się członków załogi, zewnętrzna wzrokowa. - Mostek jest chwilowo wyłączony. Możesz odbierać nasz odlot na zewnętrznej. Nyborg odwrócił się, bezceremonialnie wymaszerował z celi i zamknął za sobą drzwi. D'mahl zadrżał. Zdawało mu się, że ściany i sufit zamykają się wokół niego, jakby go chciały wtłoczyć w rzeczywistość hologramu. Stwierdził, że wpatruje się intensywnie w pole gwiazdne, wyciągające się ku niemu, jakby go chciało w siebie wessać.

Zamrugął gwałtownie, świadom niezwykłości tego doznania, co skierowało jego uwagę z hologramu na senso-rejestrator. Trzeba to zarejestrować. Włączył senso-rejestrator, wrzucił do środka krążek na sto godzin mikrotaśmy, dostroił urządzenie do własnego układu

zmysłowego. Lecz pierwszy moment oszołomienia już minął: teraz znajdował się po prostu w nieznośnie nijakim pokoiku z olbrzymim hologramem pola gwiazdnego na jednej ścianie.

D'mahl nastawił grawi-płytę na jedną dziesiątą g, tyle tylko, żeby utrzymać się w miejscu, i leżał na materacu. Stwierdził, że znów wpatruje się w hologram pola gwiazdnego, tym razem z pozycji leżącej. Może Bandoorze sprawiało przyjemność, kiedy ten widok wsysał go w siebie?

Bandoora włączył się w niego, tylko na audio:

- Witaj na "Beli-37", D'mahl. Za chwile przebijemy błonę. Jeśli chcesz, możesz to zakodować.

- Dzięki - nadał w odpowiedzi D'mahl na częstotliwości wewnątrzalogowej. - Wolałbym jednak zarejestrować to cieleśnie z mostka.

- Przykro mi, ale mostek jest teraz poza twoim terenem - powiedział Bandoora i zerwał kontakt.

- Bomba! - parsknął D'mahl do pustego pokoju i z irytacją włączył się na zewnętrzną częstotliwość wizyjną statku.

Był bezcielesnym punktem widzenia podróżującym poprzez głuchą, pozbawioną tarcia, czerń przestrzeni. Czuł się jak w pęcherzu próżniowym, a zarazem i nie jak w pęcherzu, gdyż odcięty był teraz od wszelkich doznań zewnętrznych i wewnętrznych oprócz wizji. Stwierdził, że może wybierać częstotliwości decydujące o kierunku wizji - coś w rodzaju możliwości obracania nie istniejącą głową. Pod nim, Karawana błyszczała jak klejnot nieskończenie subtelnego światła, kurczący się z wolna w aksamitnej czerni. Wszystkie inne wektory zdominowała błona wodorowa: tęczowej jasności niebo, które zdawało się go otaczać ze wszystkich stron.

Był to poruszający spektakl wzrokowy, a jednak brak subtelności pełnego odbioru zmysłowego czynił go zarazem tragicznym i napełniał D'mahla nieuchwytnym smutkiem. W miarę jak tęczowy poblask błony wodorowej zbliżał się coraz bardziej, smutek przeszedł na wektor nostalgii związanej z rychłą utratą kontaktu z bankami Karawany. Energie błony zablokują banki na długo przed wystąpieniem różnicy czasu i osłabieniem bodźców. Miał



ostatnią szansę pożegnać wieloraką rzeczywistość Karawany przed zesłaniem w nieznaną i niezmienną próżnię.

Wyłączył się z częstotliwości wizyjnej statku i błyskawicznie przeleciał przez całą mnogość częstotliwości Karawany, jak człowiek, który na łożu śmierci przegląda własną ścieżkę sensoryczną, zanim ją odeśle do banków pośmiertnych.

Stanął wśród kryształowych drzew własnego grand-salonu. Był Daltą Reed wiosłującym przez Krwawe Jezioro na "Lothorienie", i był Erną Ramblieu w trakcie uprawiania miłości z Johnem Beniną na jego balkonie wychodzącym na Korytarz Słońca, na pokładzie "Czarodziejskiej Góry". Z ciała spawacza pracującego na kadłubie obserwował budowę "Excelsiora", przejrzał też finałową sekwencję "Wędrujących Holendrów". Przerzucił następnie własną ścieżkę sensoryczną: pieszczoty z Jiz pięć lat temu, gdzieś na pokładzie rolnym, urywki z dziesięciu bankietów, tańce tańczone w dzieciństwie na płycie zero-grawitacyjnej, montaż "Wędrujących Holendrów" w studio montażowym - i nagle uzmysłowił sobie, że wraz ze światem wspomnień pozostawia za sobą i cały świat teraźniejszości. Na koniec przemknął przez ciało Jiz Rumoku, prowadzącej mężczyznę w zielonym welwetowym garniturze wzdłuż holoramy Baletu Odległego Spojrzenia, tańczącego "Jezioro Łabędzia" w zero-grawitacji, a potem już kontakt mu się urwał i leżał na grawi-płycie w "Beli-37", niezdolny go odnowić.

Włączył się na częstotliwość wizyjną statku i stwierdził, że wkracza oto w wypełniającą cały świat jasność błony wodorowej za jutrzniową kulą pola poboru paliwa pochodni "Beli-37". Mała tęcza dosięgła wielkiej i D'mahl w jednej chwili znalazł się w glorii pola "Beli-37", tworzącego wybrzuszenie w zjednoczonym polu światła Karawany, wybrzuszenie, które obejmowało statek zwiadowczy i D'mahla, które na moment przeistoczyło się w zamkniętą kulę pełnego widma światła, po czym przebiło błonę wodorową z zawrotną szybkością, od której istnienie D'mahla w zapierającym dech wirze wystrzeliło w twardą czerń otwartej próżni.

D'mahl zadrżał, jęknął i zerwał kontakt. Przez moment pomyślał w panice, że uwiązał w pułapce czeluści, gdyż wzrok jego zajął z powrotem miejsce w ciele, a przed nim był hologram próżni, wypełniający całą ścianę.

Tuba wyciągu urwała się nagle i D'mahl poszybował z niej do góry, wprost na kolisty mostek "Beli-37". Mostek, osłonięty kopułą plexi, mieścił się w pobliżu czoła pochodni. Do wysokości pasa otaczał D'mahla pierścień konsol i aparatów kontrolnych, poza tym mostek był jednak obnażony wobec próżni międzygwiazdnej. Pole poboru mocy tworzyło z przodu statku miniaturową błonę wodorową; od strony rufy widać było Karawanę w postaci migotliwego krążka za kurtyną eterycznego płomienia, poza tym jednak w całym nieskończonym ogromie nic nie żyło i nic się nie poruszało.

- Czy w żaden sposób nie można się od tego uwolnić? - wymamrotał D'mahl, na wpół do siebie, na wpół do Harisa Bandoory, który, obserwował jego wyjście z tuby wyciągu niesamowitym wzrokiem, z ironicznym, enigmatycznym uśmiechem.

- Wy przecież całe życie spędzacie na próbach ucieczki od tego - rzekł Bandoora. - My natomiast całe życie spędzamy na nurzaniu się w tym, gdyż wiemy, że tak naprawdę nie ma ucieczki. Próżnia rządzi naszym życiem.

- Mów za siebie, Bandoora - zgasił go D'mahl. - Zewnętrzność to tylko jedna z rzeczywistości. Tutaj -dotknął skroni palcem wskazującym - mieści się nieskończenie wiele innych rzeczywistości.

- Iluzja - odezwał się za nim kobiecy głos. D'mahl odwrócił się i ujrzał Sidi: stożkowate nagie piersi, naga posrebrzoną czaszka, silnie umięśnione ciało, mglisty wzrok próżniojada - obraz zimnego, abstrakcyjnego kobiecego piękna.

D'mahl uśmiechnął się do niej.

- Cokolwiek jest - powiedział - jest rzeczywistością.

- Tam, skąd przybywasz - odparła Sidi - nikt nie wie, co to rzeczywistość.

- Realite c'est moi - wyrecytował D'mahl w starożytnej francuszczyźnie. Kiedy Sidi i Bandoora popatrzyli na niego pytająco, bezskutecznie wyczuwając wyjaśnienia, niezdolni wyczuć wyjaśnienia - doświadczył bolesnego przeblýsku samotności. Jak dorosły wśród dzieci. Jak człowiek cywilizowany wśród dzikusów. A tam, na zewnątrz... tam...

Siłą odwrócił uwagę od tych myśli, siłą odwrócił wzrok od obiegającej go zewsząd próżni i podszedł do jednej z konsol, gdzie na wysokim stolku siedziała szczupła kobieta, nastawiająca jakieś pomiary.

- To Areth Lorenzi - przedstawił Bandoora. - Ustawia częstotliwość radaru grawitującego najdalszego zasięgu. Nawet podczas tego typu ekspedycji prowadzimy automatyczne badania radarowe w promieniu dwudziestu lat świetlnych dookoła świeżo przekształconych w planety gwiazd. Na taką odległość potrafimy wytropić ciało o masie Ziemi.

Kobieta odwróciła się, a D'mahl ujrzał postarzałą twarz. Dookoła oczu, w kącikach ust, a nawet trochę na policzkach, widniały zmarszczki i już samo to było niezwykle, ale najwięcej mówiły o jej wieku głębokie, przepastne, bladobłękitne oczy, mieszczące w sobie całą mnogość tego, co widziały.

- Jak często wykrywacie takie ciała? - zapytał D'mahl tytułem konwersacji, tylko po to, żeby nie gapić się na nią zbyt natarczywie.

W krystalicznej głębinie jakby coś błysnęło. Kobieta błyskawicznie spojrzała ponad ramieniem D'mahla w stronę Bandoory.

- To... dość powszechne zjawisko - powiedziała i odwróciła się z powrotem do pracy.

- A to ostatni, Raj Doru - Bandoora z podejrzaną skwapliwością przedstawił drugiego mężczyznę obecnego na mostku: przysadzistego, ciemnego, o wyglądzie atlety, o wściekle zaciśniętych ustach, krogulczym nosie i orzechowych oczach jarzących się pod śladami zgolonych brwi. Stał podparty pod boki i pogardliwie lustrował D'mahla.

- Cokolwiek jest, jest rzeczywistością - odezwał się zjadliwie. - Co ty wiesz o rzeczywistości, Jofe D'mahl? Nigdy w życiu nie stałeś oko w oko z rzeczywistością wszechświata! Kryłeś się tchórzliwie za swoją błoną wodorową, ze swoim uczuciem, za umysłową masturbacją własnych fantazji! Próżnia ścisnęłaby twoją duszą do rozmiarów łebka od szpilki i zdmuchnęłaby ją w niebyt!

- Raj! - warknął Bandoora. Nastąpiło zwarcie energii psychicznych, obaj mężczyźni przez chwile mierzyli się w milczeniu wściekłym wzrokiem.

- Zobaczymy, co będzie jak wielki D'mahl łyknie trochę próżni, Haris, wtedy zobaczymy!

- Wszystko w swoim czasie - odparł Bandoora. - Ten czas jeszcze nie nadszedł.

- Raj jest niecierpliwy - wyjaśniła Sidi.

- To dość szczególna cecha u próżniójada - zauważył kąśliwie D'mahl.

Ci ludzie zaczęli ranić jego świadomość. Wydawali się wyzuci z poczucia humoru, pełni obsesji, zdesynchronizowani z własnym rdzeniem, jakby nicość, w której nurzali się stale i z maniakalnym upodobaniem opróżniła ich wnętrza, napełniając je sobą.

D'mahl stwierdził, że patrzy do góry, w gwiazdzistą czerń otchłani, zastanawiając się, czy ten kosmiczny chłód potrafi z czasem przeniknąć i do jego rdzenia, czy nie jest przypadkiem tak, że umysł ludzki nie ogarnia po prostu takich rozmiarów nicości, zachowując jednocześnie panowanie nad własnym wektorem.

- Cierpliwość jest tutaj cechą neutralną - odezwała się Areth. Nie była to specjalnie krzepiąca myśl.

### **Rozdział III**

Co ci ludzie robią całymi dniami?, zastanawiał się Jofe D'mahl, po raz, jak mu się zdawało, tysięczny okrążając bez celu i nerwowo kolisty korytarz wokół trzonu pochodni. Zaledwie tydzień na pokładzie "Beli-37", a jego już mdliło z nudów. Ile w końcu można grać w szachy, albo w zero-grawitacyjnego tenisa? Banki biblioteczne statku były politowania godne - kilkaset taśm encyklopedycznych, pięćdziesiąt kiepskich pornografii, sto klasycznych sensosów (w tym, co odnotował z zadowoleniem, cztery jego autorstwa) i nieprzebrana kupa nudnych jak flaki z olejem raportów statków zwiadowczych.

- Cierpliwość jest tutaj cechą neutralną - powiedziała Areth Lorenzi. D'mahlowi wydawała się ona w tych warunkach jedyną możliwą cnotą, a jego własne zasoby cierpliwości topniały w tempie zastraszającym.

Przed sobą usłyszał kroki; ktoś nadchodził pasażem radialnym i w chwili później jego wektor przeciął się z wektorem Sidi, sunącej ku niemu pięknie i zimno na podobieństwo robota wsymulowanego w ludzkie ciało. Nawet tak silny początkowo pociąg do Sidi zaczynał już słabnąć. Sidi, w czerepie abstrakcyjnego piękna, wydawała się nie mniej niż cała reszta oderwana od jakiegokolwiek rzeczywistości, w której chciałby uczestniczyć.

- Witaj, D'mahl - odezwała się wyniośle. - Dobry zbierasz materiał na senso? D'mahl skrzywił się.

- Jeżeli za dobry materiał uznać półtora krążka nudy... - odpowiedział. - Bandoora obiecywał mi coś transcendentnego - gdzie to jest?

- Kiepsko się rozglądałeś.

D'mahl wskazał ruchem głowy ku górze, w pułap statku i przestrzeń poza nim.

- Tam? To samo widzę ze swojego grand-salonu.

- Poczekaj.

- Na co?

- Na wezwanie.

- Jakie wezwanie?

- Kiedy przyjdzie, będziesz wiedział - powiedziała Sidi i minawszy go, poszła dalej korytarzem. D'mahl pokręcił głową: Doru - wrogość, Bandoora - tania metafizyka, Nyborg - od czasu do czasu chrząknięcie, Areth Lorenzi - kilka gier w szachy, niemal bez słowa. A teraz testy na inteligencje od Sidi! Czy to możliwe, że ci ludzie nic więcej w sobie nie mają? Tylko kilka marnych sztuczek wokół rdzenia wewnętrznej próżni? A między nimi a nudą - tylko ich własne obsesje? Byłoby z tego całkiem interesujące senso, gdybym wykombinował sposób na dramatyzację nicości. Westchnął. Teraz miał przynajmniej istotne artystyczne zagadnienie do zabawy.

- To czysta rutyna - rzekł Ban Nyborg, nachylając swą wysoką postać nad ekranem odczytów, po którym pełzły wolno dwie kolumny liter i cyfr. - Numery katalogowe gwiazd masz po lewej, masy otaczających je ciemnych ciał - po prawej.

- Mógłby to nadzorować jeden prosty program - zauważył D'mahl. - Dlaczego ty to robisz?

- Robi to komputer, ja tylko kontroluje. Trzeba się czymś zająć.

D'mahl pokręcił głową. Do kompu-centrum wszedł całkiem przypadkowo - żaden z próznojadów nigdy nawet o nim nie wspomniał. A przecież to tu znajdowało się prawie całe wyposażenie istotne dla celu misji statku: odczyty grawiskopu i cały szereg konsol z przyrządami, po których objaśnienie musiałby sięgać do banków. Mimo to, nijaka szara kabina tchnęła klimatem zapomnienia.

- Mówisz jakbyś był co najmniej tak znudzony, jak ja - powiedział D'mahl. Nyborg kiwnął głową, nie podnosząc oczu.

- Nic tylko czekać, aż przyjdzie wezwanie.

- Wezwanie? Jakie wezwanie?

Nyborg odwrócił się do niego i po raz pierwszy od blisko dwóch standardowych tygodni D'mahl dostrzegł na jego wydłużonym obliczu wyraz ożywienia, jakiś ogień, może nawet wspomnienie ekstazy.

- Kiedy próżnia wzywa cię do siebie. - powiedział. - Sam zobaczysz. O tym się nie mówi. Otrzymujesz wezwanie i idziesz - to wszystko. Po to tu wszyscy jesteśmy.

- Po co tu jesteście? A to wszystko? - D'mahl zakreślił ręką krąg, wskazując nagromadzenie przyrządów.

Wyraźnie dostrzegł, jak z twarzy Nyborga uchodzi życie; na ognie w jego oczach spadły zasłony i znów był jak przedtem, Nyborgiem-cyborgiem.

- To jest misja - burknął, odwracając się z powrotem do ekranu odczytów. - Misja nas tutaj przynosi, ale my przybywamy dla wezwania. Dlaczego, jak myślisz, mówią o nas "próżnijady"?

- No, dlaczego?

- Bo my żywimy się próżnią - odparł Nyborg.

- To znaczy, że nie zależy wam na misji? Nie poświęćcie się dobrowolnie, aby nam znaleźć nowy, żywy świat?

- Bzdury! - burknął Nyborg.- Statki zwiadowcze nas nie potrzebują, same się mogą obsługiwać. To my ich potrzebujemy: żeby się dostać do próżni. Celowo markował zainteresowanie tym, co robi i D'mahl nie wyciągnął z niego ani sylaby więcej.

\*

- Właściwie od jak dawna latasz na statkach zwiadowczych, Areth? - zapytał Jofe D'mahl, podnosząc wzrok znad beznadziejnej sytuacji dla siebie na szachownicy.

- Z półtora wieku - odparła Areth Lorenzi, nie przerywając planowania następnego ruchu. Jak zawsze, nie dodała nic od siebie.

- Musisz być naprawdę oddana misji, skoro tyle lat spędzasz tutaj, w nicości - zauważył D'mahl, usiłując cokolwiek z niej wyciągnąć. Te oczy tak wiele dawały do zrozumienia, a te usta tak mało mówiły...

- Za każdym razem słyszałam wezwanie.

- Co to za wezwanie, o którym wszyscy tu mówią?

- Wezwanie próżni. Dla tych, którzy otrzymali wezwanie, nie ma nic poza próżnią. Ty myślisz, że my się poświęcamy dla dobra ludzkości?

- A nie?

Areth Lorenzi popatrzyła na niego swymi wiekowymi, kryształowymi oczami.

- Obsługujemy statki, aby dostać się w próżnię; nie zmagamy się z próżnią, żeby obsługiwać statki - powiedziała. - Nie poświęcamy nic prócz iluzji. Żyjemy w prawdzie. Żyjemy dla prawdy.

- I prawda was wyzwoli? - spytał cierpko D'mahl. Uwaga ta nie dotarła jednak do Areth, gdyż Areth nie miała jak zasięgnąć wyjaśnienia z banków. Spuściła wzrok. W jej głosie zabrzmiała nutka goryczy.

- Nikt nie jest wolny - oto prawda. - Przesunięciem wieży dała D'mahlowi podwójnego szacha, króla i królowej. - Szach-mat w trzech ruchach, D'mahl - oświadczyła.

\*

D'mahl zastał Harisa Bandoore samego na mostku, zapatrzonego wstecz, tam, gdzie jeszcze do niedawna widać było Karawanę w postaci maleńkiego świetlnego krążka wśród punkcików gwiazd. Teraz Karawana, jeżeli w ogóle widoczna, była jedynie punkcikiem światła zagubionym pośród milionów takich samych punkcików. "Bela-37" jak zastygła w czarnym, kryształowym ogromie, usianym nieruchomymi drobinami skrzącego się pyłu - w abstrakcyjnym wszechświecie wątpliwej rzeczywistości.

D'mahla przeszył dreszcz trwogi, przelotne doznanie całkowitego osamotnienia. W tej martwej, obojętnej nocy, nawet obecność enigmatycznego i wyniosłego Bandoory działała jak promyk ludzkiego ciepła.

- Obezwładniające, prawda? - odezwał się Bandoora, odwracając głowę na odgłos kroków D'mahla. - Sto miliardów gwiazd, planet pewnie tyle samo, a to przecież tylko jedna galaktyka, okruch materii dryfujący w nieskończonej nicości. - W jego ciemnych, bezcennych oczach było teraz wiele tkliwości, niemal łzawe zamglenie. - Kim my jesteśmy, D'mahl? Niegdyś byliśmy częścią pewnej nieznaczącej anomalii zwanej życiem, która zanieczyszczała drobinę pyłu wirującego w okruchu materii, zagubionym w obłoczku innych okruchów, który sam w sobie stanowił mierne zanieczyszczenie wszechświatowej próżni. Dziś już nawet tym nie jesteśmy...

- Jesteśmy liczącym się elementem - odparł D'mahl.

- Dla kogo? - Bandoora ruchem głowy wskazał czeluść. - Dla tego ?



- Dla siebie samych. Dla jakichkolwiek istot obdarzonych świadomością, na którejkolwiek z planet obiegających którakolwiek z gwiazd. Liczy się nauka, Bandoora. Reszta to tylko produkty uboczne -D'mahl zaśmiał się głucho. - Jeżeli nawet to solipsyzm, niech nam służy jak najdłużej.

- Gdybyś ty wiedział...

- Gdybym wiedział - co? Bandoora uśmiechnął się ironicznie.

- To, czego się dowiesz. Po to tu jesteś. Nie możemy pozostać z tym sami na zawsze.

- Ale co...

- Usłyszałem wezwanie, Haris - Raj Doru już wcześniej dostał się na mostek, a teraz podszedł spieszenie i stanął u boku Bandoory. Jego brązowe oczy płonęły gorączką, a w ruchach znać było niecodzienną ociężałość.

- Kiedy? - spytał cierpko Bandoora.

- Teraz.

- Jak długo?

- Dwadzieścia cztery godziny.

Bandoora odwrócił się i podążył za Doru do tunelu windy.

- Co się dzieje? - pytał D'mahl, depcząc im po piętach.

- Raj wybiera się ssać próżnie - odrzekł Bandoora. - Dostał wezwanie. Masz ochotę pomóc mi go wyprawić?

\*

Przy okrągłej klapie wjazdu Raj Doru pobrał z półki sprzęt do podróżowania w próżni, ubrał się w niego, wziął butelkę wody i kasetę żywnościową z zamykanej szafki, przypiął je zatraskiem do pasa spodenek. Jego oczy patrzyły gdzieś w nieodgadnioną rzeczywistość, z którą D'mahl nawet nie próbował łączyć synchu.

- Co ty robisz, Doru? - zapytał.

Doru nie odpowiedział, zdawało się, że w ogóle nie zauważa obecności D'mahla.

- Załóż pęcherz próżniowy i sam się przekonaj - powiedział Bandoora zdejmując z półki dwa zestawy i podając jeden D'mahlowi.

Ubrali się, po czym Bandoora otworzył drzwi wjazdu i we trzech przeszli do komory blokady powietrza. Napompowali pęcherze, Bandoora szczelnie zamknął drzwi i przez błonę drgań przeszli na podest wejściowy statku.

Stojąc na wąskiej metalowej półce, D'mahl poczuł się całkowicie we władzy czarnych bezmiarów, bezkresnej przepaści, w której niepewnie wisiał statek. Było to całkiem niepodobne do widoku z grand-salonu, gdyż bez wieńca statków, bez śladu przejścia Karawany, nic nie umniejszało ciśnienia próżni na dusze człowieka. Był to maleńki statek, abstrakcyjne gwiazdy, trzy drobne postacie - i bezmiar nicości. D'mahl skulił się i zadrżał pod ciosem, który przeszył sam rdzeń jego istnienia.

- Dwadzieścia cztery godziny, Haris - przekazał Doru na częstotliwości załogowej. Rozpostarł ramiona, włączył polaryzator grawitacji i odbił się w górę, w czerń międzygwiazdnej czeluści.

- Co on robi? - krzyknął własnym głosem D'mahl. Zreflektował się i nadał to samo pytanie do Bandoory, kiedy Doru zaczął już nabierać szybkości i zanikać w czerni po linii wektora pod kątem prostym do trajektorii statku.

- Przez dwadzieścia cztery godziny będzie się żywił próżnią - odpowiedział Bandoora na tej samej częstotliwości. - Stawił się na wezwanie. Oddali się od statku tak, żeby stracić go z oczu i pozostanie tam przez jedną standardową dobę.

Doru był już tylko niewyraźną sylwetką poruszającą się na tle gwiazdnego pola. Na oczach D'mahla, sylwetka skurczyła się w bezforemny punkt.

- Co on tam będzie robił? - zapytał cicho D'mahl, drżąc na całym ciele.

- Cokolwiek dzieje się między człowiekiem a próżnią, pozostaje między człowiekiem a próżnią.

- Czy to... bezpieczne?

- Bezpieczne? Mamy z nim kontakt i znajduje się nadal w zasięgu stożka naszej błony. Jego ciało jest bezpieczne. Jego umysł... to już zostanie między Rajem a próżnią.

Teraz D'mahl już w ogóle nie widział Doru. Próżniojad zniknął... w próżni. D'mahl powoli wychodził z umysłowej zadyszki; uświadomił sobie, że traci oto jedyny prymarny materiał do senso, jaki mu się dotychczas trafił. Spróbował dosięgnąć Doru na częstotliwości załogowej statku, ale jedynym sygnałem jaki otrzymał, był sygnał odmowy.

- Ja to muszę mieć na taśmie, Bandooral A on odrzuca mój sygnał!

- Mówiłem ci przecież: cokolwiek dzieje się między człowiekiem a próżnią, pozostaje między człowiekiem a próżnią. Jest tylko jeden sposób na to, abyś przywiózł do domu senso tej rzeczywistości, D'mahl: doświadczyć jej na własnym ciele i zarejestrować samego siebie.

D'mahl spojrział w zimne, nieruchome oczy Bandoory; potem wzrok jego przyciągnęły czarne gwiazdziste głębie, w których zniknął Doru. Którym Doru oddał się dobrowolnie, wręcz ekstatycznie. Lęk walczył w nim z fascynacją. Stał oto wobec doświadczenia, od kontemplacji którego miękły mu kolana, serce dudniło, a w duszy hulał zimny wicher. A było to zarazem doświadczenie, którego parametrów nie potrafił przewidzieć ani stworzyć - a więc coś, z czym nigdy jeszcze nie miał do czynienia i nie myślał, że mu się trafi coś, co leżało u podstaw odpowiedzi na pytanie: kim są próznojady? A zatem sam rdzeń senso, w imię którego znosił te niekończące się miesiące nudy. A zatem - musi nieodwołalnie stawić temu czoła.

- Po co ty to robisz? - nadał pytanie do Bandoory, odwracając się od czeluści, żeby zajrzeć mu w oczy.

- Każdy ma swój własny powód - odparł próznojad. - Wezwanie ma wiele głosów. - Uśmiechnął się tajemniczo. - Ty, D'mahl, też zaczynasz je słyszeć, w swoim własnym języku.

D'mahl zadrżał, gdyż gdzieś w głębi niego istotnie zadzwoniły pierwsze tony syreniej pieśni, odległej muzyki z otchłani poza nim i wewnątrz niego.

\*

Stojąc na mostku i patrząc, jak Bandoora znika w próżni, Jofe D'mahl poczuł się jak przepastne pudło rezonansowe instrumentu wibrującego pod drganiem tej samej struny bez końca. W ciągu trzech ostatnich tygodni Doru, Nyborg, Areth, Sidi, a nareszcie i Bandoora, oddalali się w czeluść próżni, Areth i Nyborg po dwa razy. Każde z nich odmówiło D'mahlowi kontaktu na bieżąco, a nawet późniejszej rozmowy o przeżyciach i każde powracało jakieś odmienione. Doru sprawiał wrażenie, jakby mu upuszczono sporą dozę wrogości, Nyborg stał się jeszcze mniej rozmowny, bliski katatonii; Areth była jakby młodsza, może odrobinę mniej wyobcowana; Sidi zaś zaczęła go niemal zupełnie ignorować. D'mahl nie potrafił znaleźć wspólnego mianownika, może tylko to, że z każdym kolejnym próżniossaniem towarzyszy czuł się jeszcze bardziej obcy na "Beli-37", coraz bardziej samotny, i coraz bardziej ciekaw, co zachodzi pomiędzy umysłem człowieka a próżnią. Teraz, gdy przebywał tam ostatni z nich, D'mahl czuł, że cały proces zmierza ku spełnieniu, a drżenie monotonnej struny wypełnia jego istotę swoją harmonią.

- Czy słyszysz wreszcie, Jofe D'mahl? - odezwał się tuż obok cichy głos Areth Lorenzi. - Czy wreszcie słyszysz wezwanie?

- Nie jestem pewien, co słyszę - odparł D'mahl, nie odwracając oczu od czeluści za ścianą plexi. - Może to tylko wołanie mojego ego. Muszę zarejestrować ssanie próżni na taśmie, inaczej cały spędzony tu czas pójdzie na marne.

- To jest wezwanie - orzekła Areth. - Znam się na tym. Do każdego przychodzi po jego własnym naturalnym wektorze. D'mahl obrócił się do niej z wysiłkiem.

- Wy coś przede mną ukrywacie - powiedział. - Czuje to. Wiem. Teraz Areth nie patrzyła na niego, lecz we wszechobecną próżnię.

- Tym czymś - powiedziała - jest przestrzeń stanowiąca jądro wszystkiego. Nasza prawda, której ty zaprzeczasz.

- Dostyc tych szyfrów! - zbuntował się D'mahl. - Co to za kosmiczna prawda, którą mnie wciąż drażnicie?

- Żeby ją poznać, musisz zasmakować próżni.

- Dlaczego?

- Żeby wiedzieć dlaczego, musisz odpowiedzieć na wezwanie. Z gardła D'mahla eksplodował bezsłowny jęk złości i frustracji.

- Myślisz, że nie rozumiem tej gry, w którą wy tu gracie? - wybuchnął. - Myślisz, że nie wiem, co robicie? Tylko dlaczego? I dlaczego tak się uwzięliście, żeby mnie wysłać w próżnię? A przede wszystkim: po coście mnie tutaj ściągnęli?

- Bo jesteś tym, kim jesteś, Jofe D'mahl - odparła Areth. - Bo zrobiłeś "Wędrujących Holendrów". Bo może ciebie właśnie szukaliśmy. Może jesteś tym, który potrafi podzielić z nami prawdę i zdjąć brzemię z naszych dusz.

- To już komplementy, prawda? Areth odwróciła twarz ku niemu, a wtedy skulił się niemal jak pod ciosem od bólu, rozpaczy i błagania, które dostrzegł w jej oczach.

- To nie komplementy - powiedziała. - To nadzieja. Proszę cię, jak jedna ludzka istota drugą ludzką istotą - pomóż nam. Bandoora by tego nie zrobił, ja to zrobię. Zdejmij z nas ten ciężar, D'mahl, przyspiesz wezwanie i zdejmij z nas ten ciężar.

Niezdolny dalej patrzeć w jej oczy, D'mahl odwrócił wzrok W upstrzoną gwiazdami czerń. Bandoory nie było już widać, lecz coś z dali istotnie przyzywało go niewidzialną dłonią, przywoływało niesłyszalnym głosem. Nawet jego lęk wydawał się być częścią tego, wyzywał go na spotkanie z próżnią wewnątrz i próżnią na zewnątrz, do wyrzeźbienia z próżni czegoś - czegokolwiek, jeżeli był człowiekiem o tak wielkiej duszy, aby się na to poważyć.

- Niech będzie - powiedział cicho, do Areth, do Bandoory, do nich wszystkich i do tego, co czekało za kopułą plexi. - Wygraliście. Kiedy wróci Bandoora, ja odpowiem na to wasze przekłete wezwanie. Jak to już kiedyś powiedziałem, mam w życiu tylko jedno do zrobienia: ośmielać się.

Lecz człowiek, który niegdyś wyrzekł te słowa, wydawał się teraz przeszły i daleki.

\*

Wszyscy wyszli na zewnątrz, na podest przed wejściem, ubrani w pęcherze próżniowe, aby pożegnać D'mahla.

- Osiemnaście standardowych godzin, D'mahl - nadał Bandoora na częstotliwości załogowej. - Pamiętaj, że trzymamy namiar na ciebie i w każdej chwili możemy cię ściągnąć z powrotem, jeżeli się okaże, że to za wiele. Daj tylko sygnał.

D'mahl bez słowa kiwnął głową, zamknięty w swoim pęcherzu. Sprawdził palcami położenie manierki z wodą i kasety z racją żywnościową. Ustalił czas na 4.346. Ani na chwilę nie był w stanie oderwać oczu od bezkresnej czerni morza, w które za chwilę miał znurkować. Miliony punkcików gwiazd pulsowały i migotały w ciemności jak igły przesywając siatkówki jego oczu. Z czeluści pulsował ku niemu bezgłośny ryk, wycie samej wiecznej ciszy. Jego ciało zdawało się kończyć w okolicy kolan. Próżnia okazała się namacalną substancją, wyciągającą się teraz, aby go zamknąć w zimnym oceanicznym uścisku. Wiedział, że musi się jej oddać właśnie teraz, bo za chwile drżący i zlany potem zrejteruje w azyl psychiczny "Beli-37".

- Do zobaczenia o godzinie 2.000 - nadał z pozorną nonszalancją, aktywując polaryzator grawitacji. Potem ugiął kolana i odbił się stopami od wąskiego metalowego występu w bezmiar nieznanego.

Sam skok w czeluść uwolnił go jakby od najgorszego leku, poczuł, że fizycznie wyskakuje z własnego strachu i przez moment było mu tak, jak czasami podczas przeskoku z jednego statku Karawany na drugi, kiedy na chwilę tracił wszystko z oczu. Potem się obejrzał.

"Bela-37" była teraz małym metalowym cylindrem oddalającym się z wolna w gwiazdzistą ciemność. Pięć mikroskopijnych figurek na podeście u wejścia drżało przez chwile na granicy widzialności, po czym wtopiło się w bezkształt statku. Nie istniało już nic, co miałoby choćby pozory realności, D'mahl zadrzał i odwrócił głowę. Dziwne, ale widok czystej próżni był mniej przerażający niż widok ostatniej rzeczy, która go łączyła z tym, co człowiecze, znikającej z pola widzenia w głębinie nicości.

Przez dłuższy czas nie oglądał się za siebie. Kiedy to wreszcie uczynił, jego wszechświat nie miał już ani tyłu, ani przodu, ani stron, ani góry, ani dołu. Wszystko wokół było nieskończoną czarną dziurą usianą pyłem nic nie znaczących gwiazd, a jedynym kierunkiem wydawał się być kierunek w dół. Umysł D'mahla stanął dęba, przekoziołkował i odrzucił te niemożliwe dane sensoryczne.

Czas nie upływał, ale istniała ciągłość. D'mahl unosił się w próżni i czekał. Przyszło pragnienie, nasycił je, czekał dalej. Przyszedł głód, zaspokoił go szczyptą pożywienia, czekał dalej. Uświadomił sobie bicie własnego serca, pulsowanie krwi w żyłach, czekał dalej. Kinestatyczna świadomość funkcji cielesnych osłabła. Czekał dalej.

Nic się nie poruszało. Nic nie żyło. Nic się nie zmieniało. Cisza nie miała granic. Stopniowo, pomału i z nieskończoną subtelnością, percepcja D'mahla zaczęła znów ulegać zmianie. Kojąca iluzja bezpiecznego zamknięcia w przezroczystej osłonie zawieszanej w skończonej rzeczywistości ograniczonej malowaną w gwiazdy kurtyną, zaczęła ustępować pod nieznośnym ciśnieniem czasu, który nie zna upływu, i wymuszonej kontemplacji. Kryształowo czysta substancja przestrzeni stopniała w nicość, z której przedtem wywabił ją swoją myślą, i w tej samej chwili gwiazdy przestały być punkcikami farby na odległych ścianach, a stały się drobinami świetlistej materii, odległymi o całą wieczność, o przepastne jary nicości absolutnej. Wszechogarniająca czerń nie była już malowaną ścianą kieszonkowej rzeczywistości, lecz totalną nieobecnością wszystkiego - światła, ciepła, dźwięku, ruchu, barwy, życia - rozciągniętą w dal, bez granic, które nadałyby jej kształt, bez najmniejszej szczeliny, która nadałaby jej znaczenie.

To była próżnia, a on był w niej.

\*

D'mahl stwierdził ze zdziwieniem, że umysł jego jest w stanie ogarnąć tę bezlitośnie prawdziwą percepcją rzeczywistości - jakkolwiek groźną, jakkolwiek przerażającą - bez tarczy iluzji. Bezczasowe trwanie obdarło go ze zdolności podtrzymywania iluzji, a mając do wyboru rozdygotany lęk i chłodną, zdystansowaną akceptację jednej rzeczywistości, wobec której stał, umysł jego wybrał to drugie.

- Był, i był w próżni. To była jego rzeczywistość. Poruszał się, a wszystko wokół trwało w bezruchu. To był fakt. Słyszał własny oddech, a wszystko inne było ciszą. To była prawda, przed którą nie sposób uciec. Kształt własnego ciała odbierał jako błonę oddzielającą jego rzeczywistość wewnętrzną od nicości na zewnątrz, a wszystko inne było na zawsze pozbawione formy, w przestrzeni i w czasie. To była próżnia. To był wszechświat. To była prymarna rzeczywistość. Rzeczywistość, od której ludzie uciekali - w religie, w sny, w sztukę, w poezję, w filozofię, w metafizykę, w literaturę, w film, w muzykę, w wojnę, w

miłość, w nienawiść, w paranoję, w senso i w kontakt sensoryczny. W nieskończoną liczbę rzeczywistości mieszczących się wewnątrz człowieka.

Poza rzeczywistościami umysłu, istniała tylko nicość bez formy i końca, szczerkowo zanieczyszczona drobinami materii. Człowiek zaś był jedynie przypadkowym produktem końcowym łańcucha chaotycznych i nie mieszczących się w granicach prawdopodobieństwa zdarzeń tych nie znaczących zanieczyszczeń. Próżnia ani o nim wiedziała, ani o niego dbała. Próżnia nie istniała. Była wiecznym i nieskończonym nieistnieniem, które pomniejszało i obejmowało sobą to, co istnieje.

D'mahl unosił się w czeluści niebytu, trwając poza czasem, i próżnia poczęła sięgać w głąb jego istnienia czułkami swego nie-ja, sięgać po samo sedno i rdzeń, aż znalazła odbicie w próżni wewnętrznej.

Jofe D'mahl doświadczył samego siebie jako cienkiej skorupy bytu wokół rdzenia nicości, unoszącej się w beczasowo i bezforemnie rozległym niebycie. Był błoną grubości pojedynczego atomu między próżnią na zewnątrz a próżnią wewnątrz. Był anomalią w całej tej nicości, przypadkowym trickowym zawężeniem, w którym zdwojona nicość wytworzyła coś - świadomość, byt, życie. Był niczym, i był wszystkim, co jest. Był błoną. Nie było go. Był wszystkim. W beczasowym trwaniu Jofe D'mahl istniał nadal jako bańka świadomości w oceanie niebytu, przypadkowy skrawek materii przekomplikowany w stan, który sam miał przyjemność nazywać życiem; jako ognisko uczucia w nicości, która nie znała ani uczucia, ani wiedzy o sobie. Był poza lękiem, poza dumą, poza upokorzeniem, w rzeczywistości, gdzie pojęcia te nie miały znaczenia, samo znaczenie też nie miało znaczenia.

Spróbował wyobrazić sobie inne banieczki świadomości szybujące w wiecznotrwałej próżni - na "Beli-37", na statkach Karawany, na nieznanach planetach okrążających abstrakcyjne punkciki świetlne zanieczyszczające sterylną doskonałość czeluści. Lecz tu, w prawdziwej próżni, w tej bezkresnej matrycy niebytu, myśl, że świadomość, a nawet samo życie, jest czymś więcej niż nieprawdopodobnym produktem unikalnego i kruchego łańcucha przypadkowych interakcji zachodzących pomiędzy skrawkami przekomplikowanej nicości zwanej materią, wydawała się beznadziejnie jałowa i żałośnie antropocentryczna. Jeden z możliwych łańcuchów nieprawdopodobnych zdarzeń prowadził do życia, a wszystkie inne wiodły z powrotem do nicości. Jeden mylny krok nie istniejącego losu - i niemożliwe czary prysną.



Cudem było nie to, że życie powstało w tak nieznacznej ilości, lecz to, że w ogóle powstało.

D'mahl unosił się w czerni czeluści, w morzu bezczasowego niebytu, uczepony koła ratunkowego jedynej niepodważalnej prawdy: "Ja jestem" - myślał. Ja istnieje, a każda moja myśl, każda rzeczywistość powstała w moim umyśle, istnieje także. Może tak wygląda rzeczywistość prymarna, ale i tak cokolwiek jest, jest prawdę.

Zimno, spokojnie, niemal pogodnie, czekał Jofe D'mahl w milczącej, nieruchomej ciemności, na sygnał odwoławczy z "Beli-37", sygnał do powrotu w niebyt próżni, w kruchą złożoność światów człowieka.

Wszyscy oczekiwali go na podeście, ubrani w pęcherze próżniowe. W milczeniu wprowadzili go do wnętrza statku, a oczy ich mówiły o nowej więzi, jaka ich wszystkich złączyła. Z niezwykłą ceremonialnością towarzyszyli mu do kabiny dowódcy statku. Bandoora usadził go przy krótszym boku prostokątnego stołu, sam zaś usiadł naprzeciwko, oddzielony od D'mahla o całą długość stołu. Reszta usadowiła się po obu dłuższych bokach. Byłoby nie do ustalenia, kto siedzi u czoła, a kto u stóp stołu, gdyby nie kolejny kosmiczny hologram, tworzący ścianę za plecami Bandoory. Był to widok na galaktykę z oddalenia pustki międzygalaktycznej, który otaczał głowę Bandoory aureolą pyłu gwiazdowego i czerni.

- Teraz, skoro zmierzyłeś się już z próżnią, Jofe D'mahl - rzekł uroczyście Bandoora - możesz dzielić z nami prawdę.

W rzeczywistość tak niedawnego dla D'mahla doznania na pierwszym froncie świadomości, poczęła się saczyć irytacja. Wszystko zakrawało na jakąś żalną ceremonie. Czyżby oni zamierzali potraktować jego przeżycie jako inicjację do jakiejś pozałowania godnej religii? Z inkantacjami, sekretami plemiennymi i Bandoorą w roli arcykapłana?

- Mów, co masz do powiedzenia, Bandoora.- poprosił. Ale oszczędź mi formalności.

- Jak sobie życzysz - odparł Bandoora. Jego wzrok nabrał surowości, zdawał się chłonać czarne błyskawice próżni z holoprzestrzeni za plecami. - Cokolwiek zaszło między tobą a próżnią, zostanie między tobą a próżnią - rzekł. - Ale poczułeś. A nasze badania potwierdzają to już od ponad pięciuset lat.

- Potwierdzają - co? - zapytał D'mahl, niby od niechcienia, ale drżenie głosu nie pozwoliło mu ukryć paskudnego posmaku, który wzbierał w świadomości od próżni wewnętrznej.

- Mamy aparaturę o wiele doskonalszą niż się do tego przed wami przyznajemy - powiedział Bandoora. - I mamy ją od dłuższego czasu. Zgawisondowaliśmy dziesiątki tysięcy, a nie tysiące, gwiazd. Znaleźliśmy nie setki, lecz tysiące planet. I nie parędziesiąt, ale paręset planet o parametrach Ziemi, orbitujących w strefach potencjalnie mieszkalnych. My was okłamujemy, D'mahl. Okłamujemy was od wieków.

- Dlaczego? - szepnął D'mahl, chociaż znał odpowiedź, czuł, jak krzyczy do niego z hologramu za głową Bandoory, z mglistych oczu próżniotajdy, z próżni otaczającej statek.

- Wiesz dlaczego - odparł szorstko Doru. - Dlatego że poza martwą skałą i gazem nie ma nic. Ponad siedemset, D'mahl.

- Według wszelkich parametrów znanych naszym naukowcom, te siedemset planet powinno kipieć życiem - odezwała się Areth Lorenzi. - Przez Stulecia mieliśmy nadzieje, że następna, albo ta po niej, zaprzeczy jednemu narzucającemu się wnioskowi. Lecz na żadnej nie znaleźliśmy nawet mikroba. Nie mamy już nadziei.

- Miejscami trafiają się nawet cząsteczki białkowe - bąknął Nyborg. - Mniej więcej na co osiemdziesiątej.

- Ale przecież za pomocą sondy nie sposób...

- Sondy! - fuknął pogardliwie Boru. - Sondy to jeszcze jedna iluzja dla waszej, ludzi ochrony! Dysponujemy mikrospektrografami, zdolnymi stwierdzić obecność cząstki DNA na odległość dziesięciu lat świetlnych, i to dysponujemy nimi od paru dobrych stuleci.

- Już w tej chwili wiemy, że 997-Beta-II jest martwa - włączyła się Sidi. - Wiedzieliśmy to jeszcze przed złożeniem sprawozdania Radzie Pilotów. Ta cała misja, jak i setki poprzednich, to czczy gest.

- Ale dlaczego nas w ten sposób okłamujecie? - wrzasnął D'mahl. - Jakim prawem? Jak...

- A co mieliśmy wam mówić? - odpowiedział wrzaskiem Bandoora. - Że wszystko jest martwe? - Że życie na Ziemi było unikalnym przypadkiem? Że nie istnieje nic poza pustką, materią nieożywioną i mordercami jedyne go życia, jakie kiedykolwiek powstało? Co mamy wam mówić, D'mahl? Co mamy robić?

- Od przeszło dwóch stuleci żyjemy w przekonaniu, że nasze misje, są beznadziejne - powiedziała cicho Areth. - Od przeszło dwóch stuleci prowadzimy Karawanę od jednej złudnej nadziei do drugiej, wiedząc, że każda będzie złudną. Nie osądzaj nas zbyt surowo. Cóż innego mogliśmy robić?

- Mogliście nam powiedzieć - wymamrotał D'mahl. - Powiedzieć prawdę.

- Mogliśmy? - powtórzyła Areth. - Czy mogliśmy powiedzieć ją tobie, zanim sam zmierzyłeś się z próżnią?

Wściekłość i rozpacz wiodły obłądny pościg w mandali in-jang u samego rdzenia Jofe D'mahla. Wściekłość na bezczelność tych ograniczonych podludzi, którzy ośmielali się traktować całą cywilizowaną ludzkość jak opóźnione w rozwoju dzieci, którym nie wolno mówić prawdy. Rozpacz wobec przerażającej wymowy owej prawdy. Wściekłość na myśl, że może próżnijady ukrywają rzeczywisty powód swojego milczenia, że utrzymują Karawanę w niewiedzy jedynie po to, by nie ryzykować przerwania programu zwiadowczego, a wraz z nimi i okazji do jedyne go przeżycia nadającego znaczenie ich kalekiemu życiu. Rozpacz na zdradziecką myśl, że być może próżnijady mają rację, że Karawana runęłaby od prawdy jak przeżarte promieniowaniem plexi. Wściekłość na siebie, że w ogóle przyszło mu do głowy solidaryzować się z próżnijadami, że zasiadł w tym oburzającym konsylium.

- Wy otumanione bzdety, wy kaleki! - wyrzucił z siebie nareszcie. - Jak śmiecie tak nas osądzać? Za kogo wy się macie - za bogów Olimpu? Pozamykaliście swoje życie w ciasne kanały, poodcinaliście się od światów wewnętrznych - a teraz ośmielacie się decydować o tym, co my możemy znieść, a co nie?

Drżał na całym ciele, naprężone jak stal mięśnie bliskie były zakleszczenia, a w arteriach kotłował się ogień adrenalinowy. D'mahl z całej siły wciskał dłonie w krawędź stołu.

Grupa próżniogadów siedziała spokojnie, patrząc na niego w milczeniu, a tym, co dostrzegł w ich oczach, była ulga, nie zaś gniew, czy reakcja na jego gniew.

- Wiec zrobisz to, D'mahl? - spytał cicho Bandoora.

- Co takiego?

- Powiesz im po swojemu - rzekła Areth. - Zdejmiesz z nas brzemię prawdy.

- Co?

- Wyczuwając "Wędrujących Holendrów" zrozumiałem, że ty się nadajesz - powiedział Bandoora. -Przeczuleś granice prawdy. Wydawało się, że patrzysz na próżnie, a widzisz poza nią. Ty, D'mahl, znasz swoich ludzi - my ich nie znamy. Sam to przed chwilą stwierdziłeś. Powiedz im. Zrób senso, które im powie.

- Ta.... ta cała wycieczka... to był wybieg, żeby mnie tu ściągnąć... żebyście mogli na mnie zrzucić swój bagaż gówna!

- Obiecałem ci okazje do zrobienia największego senso w twojej karierze - powiedział Bandoora. -Czujesz się oszukany? D'mahl opadł na fotel.

- Ale nie powiedziałeś, że będę zmuszony odnieść sukces.

\*

Statek schodził ogonem na długi, płytki łuk nad błoną wodorową, ciągle tracąc szybkość. Przeszedłszy na częstotliwość wizyjną "Beli-37", Jofe D'mahl ujrzał jak w momencie przechodzenia statku przez jutrzniową fale, statki Karawany pojawiły się nagle w całej swej okazałości, jak gdyby błona wodorowa była tęczową kurtyną, która unosząc się odsłoniła wielki balet ruchu i światła.

W czerni wisiały tysiące lśniących cylindrów o powierzchniach kunsztownie przystrojonych wielobarwnymi światłami. Przestrzeń pomiędzy nimi skrzyła się od wydzielin szalup statek-statek i mgiełki subtelnych refleksów, rozsiewanych przez tysiące ruchomych pęcherzy próżniowych. Wąski purpurowy ślad przejścia Karawany przecinał wiecznie nieruchomą nicość eteryczną bruzdą dowodu na to, że ruch istnieje.

Karawana wydawała się jeszcze większa i piękniejsza niż ją uczyniła pamięć D'mahla podczas długiej, ponurej podróży powrotnej. Jej światła zwalczały wieczną ciemność, jej złożoność podważała nieskończoną jednorodność próżni; tańczyła w kręgu światła własnej glorii. Była żywa. Była piękna. Była domem.

Bandoora dobrze wyliczył: z chwilą gdy "Bela-37" przeszła na wysokość zaplecza Karawany, jej prędkość względna spadła do zera i statek zawisł w przestrzeni o jakieś dwadzieścia kilometrów poza wieńcem statków Karawany. Bandoora wykonał manewr obrotu o sto osiemdziesiąt stopni i zaczął obniżać statek ku Karawanie, na miejsce parkowania tuż za błoną wodorową. D'mahl wyłączył się z częstotliwości wizyjnej statku zwiadowczego i spoczął na grawiptycie w swojej kabinie, po raz ostatni długo wpatrując się w gwiazdne pole hologramu na ścianie.

Potem, jak kochanek sięgający po hołubione w pamięci ciało po długiej rozłące, jak człowiek wstający z długiej śpiączki w światło dnia, skontaktował Jiz Rumoku.

Siedział przy nieskazitelnym szklanym stoliku, sącząc z czajniczka lodowaty niebieski napój, którym popijał gąbczasty lawendowy olśniewacz. Po przeciwnej stronie stolika, Varn Kamenev nalewał sobie z dzbana kolejną porcję napoju: dzbanek należał do tego samego serwisu. Stolik stał na kręgu przezroczystego plexi, który jak dziesiątki podobnych kręgów dryfował w otoczeniu, które przypominało dżungle winorośli, bez stropu i bez dna. D'mahl nie rozpoznał restauracji, ale nie zadał sobie trudu sięgnięcia po informacje do banku.

- Bohater wraca do domu - rzekł krtanią i ustami Jiz, czując jak jej ciało rozgrzewa się od jego obecności. - Jofe, gdzie jesteś? Wszystko w porządku? Wyczuje cię...

- Poczekaj na ciało, Jiz - powiedział. - Będę u ciebie w galerii najdalej za dwie godziny. Chciałem, żebyś się pierwsza dowiedziała, a teraz muszę się w przyspieszonym tempie wczuć w realia, bo skonam z pragnienia.

- Ale jak było...

- Daleko, daleko, daleko, daleko - odpowiedział, czując nagły przepływ radości na myśl, że jest z kimś, kto może w tym momencie wczuć się do banku cytatów. I na pewno to

zrobi. - Za rok w Jerozolimie - dodał jej ustami. Tymi samymi ustami ucałował jej dłoń i przerwał kontakt.

Po czym wczuł się kolejno we wszystkie zmiany, według chaotycznego programu wynajdowania nowych zjawisk.

Był Parą Bunningiem, skaczącym do góry w obniżonej grawitacji do basenu wonnej różanej wody podgrzanej do temperatury ciała. Na ścieżce sensorycznej pilota szalupy zobaczył, jak "Bela-37" przebija błonę, wodorową, z nim samym na pokładzie, a następnie jak pojawia się z powrotem w Karawanie, na częstotliwości dziennika wieczornego. Stał we własnym grand-salonie, z wściekłością patrząc poprzez mgły bankietu na Harisa Bandoore, następnie wyczuł salon w czasie realnym - naga szmaragdowa posadzka, przyćmione kryształowe drzewa, a poza ekranem plexi - olbrzymi wieniec statków świecący w galaktycznej nocy.

Był w ciele Johna Beniny, patrzył w dół na Pasaż Słonecznego Tańca. Winorośle rozpełzały się w górę i w dół po jednorodnie szklanych fasadach domów, a pośrodku placu sosny okalały wielkopłytkowe lustro, tłumiąc jego blask. Wyczuł fragment "Niech zakwitnie tysiąc kwiatów", senso autorstwa Irana Capabuli, którego premiera odbyła się pod jego nieobecność: zgięty w pół pod żółtym słońcem w czystobłękitnym niebie pełń nieskończone pola bajecznie kolorowych kwiatów, zatopiony w ich kadzidlanej woni. Jako pierwszy tancerz Baletu Odległego Spojrzenia, odtańczył parę taktów "Eksplozji Gwiazdnej". Pierwszy raz kochał się na niebieskim futrzanym wzgórzu na "Samarkandzie", ostatni raz u Jiz, a między pierwszym i ostatnim jeszcze ze dwanaście razy. Ukończył swoje pierwsze senso, "Zaciemnienie", i ostatnie - "Wędrujących Holendrów". Jadł obiad pośród kolorowych chmur na "Arielu", drugi nad Krwawym Jeziorem na "Lothorienie", a w trakcie jeszcze dwanaście razy w różnych innych miejscach. Na przypadkowych częstotliwościach sięgnął do wszystkich sensosów, jakie w życiu robił.

A kiedy miał już to wszystko za sobą, zjednoczył się z dawnym D'mahlem, był znów we wszechświecie nieskończonej liczby rzeczywistości, który na jakiś czas opuścił; był całością; był w domu.

\*

"Brigadoon", zgodnie z oczekiwaniem D'mahla, był całkiem odmieniony. Nowa moda była jednak jak najdalsza od tego, czego się spodziewał i coś w niej zmroziło go do żywego.

Pokład drugi stanowił symule starożytnej ziemskiej wioski alpejskiej: symul-drewniane domy, trawa porastająca syntetyczną glebę, sosny; nawet kopuły wizjerów zasłonięte były 360-stopniowymi hologramami gór w czapach śniegu pod błękitnym niebem.

Wachlarz rozrywek na pokładzie szóstym znacznie uszczuplono i uproszczono żałośnie na wzór małomiasteczkowych amerykańskich lunaparków: diabelski młyn, karuzela, gra w rzutki i baloniki, romboidalne boisko baseballowe, nawet mechaniczne symule medalowego bydła, owiec, psów i świń. Ten pokład również osłaniał 360-stopniowy hologram, tym razem hologram zboża falującego na wietrze. Pokład ósmy, mieszkalny, był symulą wioski afrykańskiej - koliście ustawione chaty kryte trawą, zagroda z mechanicznym bydłem i antylopy, lwy, oraz hieny, hasające po osłaniającym całość hologramie stepu. Pokład dziesiąty przerobiono właściwie w całości na funkcjonalny pokład rolny: rzędy za rzędami sadzonek sosen, gęsto zasadzone winnice, grządki kwiatów, i uwijający się wszędzie ludzie w zieleni ziemioryjców.

D'mahla zaszokował nie tyle motyw przewodni nowej mody - "Brigadoon" lansował już wcześniej mody "naturalne" - co monomania wykonania, bez poczucia humoru, bez brio. Ta ostatnia metamorfoza "Brigadoona" wydawała się tak śmiertelnie poważna, jakby stanowiła próbę stworzenia rzeczywiście wiernej symuli dawnych środowisk ziemskich, a nie użycia ich jako pretekstu do artystycznych przetworzeń.

Pokład dwunasty, pokład Jiz, epicentrum wszystkich fal transformacji "Brigadoona", zaskoczył go najbardziej. Wyłącznie drewno i drzewa. Sklepy i restauracje pobudowano z symul-klód pokrytych chropawą korą; kwadratowe szybki z plexi w małych okienkach osadzone były w drewnianych, żłobionych okiennicach. We wnętrzach stały symul-drewniane, grubo ciosane meble. Ścieżki wyłożono kamiennymi płytami. Wokół rosły ogromne symul-drzewa, kasztanowce i eukaliptusy, wynoszące się aż pod strop pokładu, gdzie tworzyły niemal lity leśny baldachim, pomniejszając i wręcz spychając z powierzchni skromne, neoprymitywne chaty. W powietrzu unosiła się gęsta woń palonych liści i butwiejącej gleby; słychać było nieustannie ptasie nawoływania i nieokreślone szelesty przemykających się zwierząt.

Galerię Jiz Rumoku stanowiła teraz pojedyncza obszerna komnata z wydrążonego symul-pnia drzewa, które mogłoby uchodzić za niebywałych rozmiarów sekwoje, nad galerią zaś mieścił się zgrzebny stryszek - obecne mieszkanie Jiz, o ścianach i podłodze z kłód symul-sekwoi. Przez sufit biegły ciężkie drewniane krokwie, a na kominku z czerwonej cegły migotał i huczał pomarańczowy ogień. Eleganckie symul-orzechowe stoły i kredensy w czystym, estetycznym stylu Shakera, służyły do ekspozycji reprezentatywnych rzeźb w drewnie, glinianych naczyń, biało-niebieskiej ceramiki, niewymyślnej biżuterii ze złota i srebra, wiklinowych koszyków i zwierzątek, neo-ręcznie tkanych materiałów. Po całej galerii rozstawione były żeliwne piecyki, koksowniki, narzędzia rzemieślnicze i pługi.

Jiz stała za niskim stolikiem ubrana w obcisłą, przylegającą do ciała sukienkę z surowej bawełny, w biało-czerwoną szachownicę, skrojoną w stylu minoańskim, tak, że odsłaniała piersi. Piła coś z glinianego kubka.

- Jofe! - krzyknęła i przeczuli się nawzajem. D'mahl poczuł na jej skórze szorstkość sukienki, gdy ciało jego całowało jej usta, a jego ramiona przytulały go do niej z całej siły. Smakował resztki płynu w jej ustach - coś słodkiego, kwaskowatego, z lekką domieszką alkoholu. Przez kontrast, jego własne usta wydawały się twarde i naelektryzowane.

- Nie wiem, od czego zacząć - powiedziała, kiedy zerwali kontakt. - Pozwól mi wyczuć ścieżkę sensoryczną twojej wycieczki!

- Jeszcze jej nie ma w bankach - odparł D'mahl. - Pamiętaj, że byłem odcięty.

- Racja! To niesamowite! Naprawdę będziesz mi o tym mówił, słowami?

- Wkrótce wczuje nagrania do banków - bąknął D'mahl, zastanawiając się, czy przypadkiem nie kłamie. - A mówiąc o niesamowitościach co to wszystko ma znaczyć?

- Racja - zmitygowała się Jiz. - Ty przecież rzeczywiście nie miałeś kontaktu. Jakie to dziwne! Moda transmutacyjna trwała krócej niż się spodziewałam, głównie dlatego, że zaczęła się wszystkim wydawać zbyt sztuczna, bez synchu z naszym przyszłym wektorem.

- Przyszłym wektorem? to znaczy?

- Eden.



- Eden?

- Nasz coraz bliższy nowy dom, Jofe. Nie możemy go ciągle nazwać 997-Beta-II, prawda? Odbyło się referendum i wygrał "Eden", chociaż ja osobiście byłam za "Olimpią". Mity greckie zawsze były mi jakoś miłsze.

Fale mdłości przetoczyły się przez całą istotę D'mahla, biorąc swój początek z centrum nicości za mostkiem.

- Nie sądzisz, że to zbyt przedwczesne, Jiz? - zapytał.

- Na tym polega moja gra, Jofe, przecież wiesz - odparła Jiz, żartobliwie dotykając palcem koniuszka jego nosa. - Tym razem jednak kreuję coś więcej niż nową modę. Pomagam w przygotowaniu nas do transformacji.

- Transformacji?

Jiz tańczyła po galerii, dotykając drewna, gliny, wikliny, żelaza.

- Och, Jofe, sam to przecież powiedziałeś w "Wędrujących Holendrach"! Za długo już jesteśmy Latającymi Holendrami na bezbrzeżnym morzu. Trwamy w wiecznym okresie dojrzewania, na zwolnionych obrotach przemierzamy noc w swoich baśniowych statkach. Wiec teraz, skoro mamy okazję wreszcie dojrzeć, zapuścić nowe korzenie w nową glebę, musimy doprowadzić swoje umysły do synchu z nadchodzącą rzeczywistością, musimy zejść z pochodni, na której jedziemy, bliżej ziemi. Drewno, cegła, żelazo, glina, roślinność! Przedmioty planetarne! Przygotowujemy się do roli pionierów, którzy wkroczą w dziewiczy świat.

- Gównno - mruknął przerażony D'mahl. - Ziemioryjskie brednie - dodał głośno. Irytacja zaczęła w nim kipieć, przybierając blask nowej. Jiz stanęła, jak motyl zastygły w połowie tańca.

- Co ty powiedziałaś?

D'mahl spojrział na nią, na nagie piersi uniesione strzeliście ponad biało-czerwoną tkaniną, dumnie panujące nad syntetycznym prymitywizmem, który sama stworzyła, nad próżnym, żalonym marzeniem, które nigdy się nie spełni - i przez dłuższą chwilę miał

wrażenie, że Jiz zrobiona jest z cienkiego szkła, które rozsypie się w okruchy na sam dźwięk jego głosu. Cała galeria, cały pokład dwunasty, cały "Brigadoon", cała karawana, wydały mu się dymnymi obłokami, które można rozwiązać jednym nonszalanckim machnięciem ręki. Poza nim i w nim, próżnia natrzęsała się z żalonych zjaw, które tak bardzo starały się istnieć naprawdę. "Jak mam jej powiedzieć?" - pomyślał D'mahl. "I po co? Po diabła?"

- Nic takiego - bąknął niezdarnie. - Nie zachwyciła mnie chyba myśl o dorastaniu. Za dużo we mnie Pana, za mało Piotrusia.

Jiz roześmiała się, wyjaśniewszy za pomocą kontaktu do banku potrójny żart D'mahla, i niebezpieczny moment jakoś przeszedł. D'mahl czuł jednak dystans, jaki się rozwarł pomiędzy nim a Jiz, pomiędzy nim a Karawaną, pomiędzy rzeczywistością a iluzją. Czy to właśnie znaczy być próżniokadem? - zastanowił się. Jeżeli tak, to lepiej się przeprogramować na lewą stronę!

- Ale ty tam przecież byłeś, Jofe - powiedziała Jiz, wracając do niego z drugiego końca galerii. - Odczytywałeś fale czołową sondy, zajrzałeś przez bramy Edenu! - jej oczy skrzyły się, ale D'mahl za lukrem ich blasku widział jedynie próżnie. - Czy są tam morza pełne ryb i niebiosa pełne ptaków? Zielona trawa? Kwitnące rośliny?

- Dzentelmen nie zdradza sekretów - zrobił unik D'mahl. Co ja jej powiem - że zielona trawa to sole miedziowe, że morza są niebieskie od cyjanku, a niebo pełne trucizny? Poczul większą niż dotąd sympatie dla próżniokadów. Jak można żyć, mając ludziom do powiedzenia tylko takie prawdy? Jak można chcieć być aniołem śmierci?

- Jofe!

- Nic nie mogę powiedzieć, Jiz, dałem słowo. .

- Nie wygłupiaj się, w jaki sposób próżniokady, czy Rada Pilotów, zdołałyby wydusić z ciebie taką obietnicę?

Z niebywałym wysiłkiem D'mahl wymalował sobie na twarzy łagodny uśmiech; głębokie zmarszczki śmiechowe wyglądały jak pęknięcia na szklanej masce.

- To jest właśnie ten kwik, który płace za ich pro quo, mój prosiaczku - odparł.

- Nie powiesz mi chyba...

- A. właśnie, że powiem. Myślisz, że siedziałbym tam inaczej tak długo, a potem pozwolił, żeby jakiś tam oschły jak Luna biuletyn pozbawił mnie głównej roli? Żadnych biuletynów - 997-Beta-II-Eden - to moje nowe senso.

Jiz podskoczyła i pocałowała go w usta.

- Spodziewam się, że najlepsze!

D'mahl przytulił ją przelotnie i poprzez burze jej włosów spojrzął na kolekcje prostych glinianych naczyń na orzechowym kredensie przy ceglany kominku. Zadrżał, gdyż poczuł próżnię w każdym atomie, w każdej cząsteczce materii tworzącej te symul-projekcje umarłej na wieki przeszłości w przyszłość, która nigdy nie nastąpi. Był teraz skazany na zrobienie tego, jedynym wyjściem było przez to przebrnąć, a przecież wziął na siebie obowiązek znalezienia takiego wyjścia.

- Mam nadzieje, że najlepsze - odparł. - Mam nadzieje.

D'mahl był w ciele Arica Moreau pośród tłumu śmiertelnie poważnych ludzi w obrzydliwych samodziłach, wałęsającego się nieprzytomnie po gęstych szpalerach sosnowych młodniaków na pokładzie rolnym "Polany". Tutaj nie silono się na żadne symule: ziemioryjcy zapamiętali hodowali las z myślą o przetransplantowaniu go na nie istniejące żywe gleby Edenu. Podobnie jak na innych pokładach rolnych, które wyczuwał, tu także funkcjonalność brała górę nad estetyką. Wściekły, puścił z góry deszcz ekskrementów, zmienił modny neo-samodziłowy strój na obmierzłe drelichowe szmaty, a na dobitkę dorzucił jeszcze kilka gniewnych piorunów z błyskawicami.

Przecztał ten fragment sprawozdania "Beli-37", w którym hologram 997-Bety-II wisiał jak przejrzały owoc w samym centrum mostka kapitańskiego statku, a na linii równego podziału umieścił jęzor i usta, otrzymując efekt wielkiej, soczystej maliny. Płynął w próżni, opadając bez końca w bezdenną czarną dziurę przyprószoną nic nie znaczącymi gwiazdami. Sprawił, że gwiazdy przeistoczyły się w byle jak poznaczone kropki na czarnym papierze i z wnętrza tego continuum papierowej torby przebił się na zewnątrz - w czeluść.

Sięgnął po taśmę wiadomości dnia z roku 708, roku w którym 557-Gamma-IV okazała się fałszywym światelkiem: patrzył jak obywatele Karawany, w stylizowanych na biblijne szatach, snują się po pokładzie rolnym gęsto porośłym przekwitłymi kwiatami i cuchnącym od gnijącej roślinności. Wystylizował ich kwaśne miny w żałosne błazeńskie karykatury obliczy, które z wolna przemieniały się w dynie; Big Ben wybijał północ. Stał, gotów do skoku, ha podeście u wejścia na "Bele-37", spięty i drżący, obezwładniony czarnym ogromem, w którym niebezpiecznie zawisł statek.

Puknął z irytacją, zdjął z głowy pierścień efektów jak koronę po abdykacji i zasiadł w kokonie fotela, z niezadowoleniem patrząc na krążek mikrotaśmy obracający się jałowo na sztyfcie producenta. Wcisnął niebieski guzik i skasował krążek. Gównu, które tu montuje od trzech dni, nie zasługuje nawet na przechowanie - pomyślał. Manipuluje bankami i pierścieniem efektów - w nic się to nie sumuje.

A czasu było coraz mniej. Wszyscy wiedzieli, że "Bela-37" powróciła, wszyscy wiedzieli też, że biuletynu nie ma wyłącznie dlatego, że Jofe D'mahl ma przekazać informacje w formie senso. Jiz w swojej niewinności i Bandoora w swej tchórzliwej chytrności, dobrze o to zadbali. Im dłużej trwało przygotowywanie senso, tym większego nabierało ono znaczenia w kategoriach kosmicznych, i tym silniej rosła wiara ludzi w to, że jedyną przyczyną ogłoszenia raportu statku zwiadowczego w tak niecodzienny sposób jest oddanie karmicznej sprawiedliwości najdonioślejszemu i najradośniejszemu wydarzeniu w dziejach Karawany - dopisanie triumfalnego epilogu do długiej ludzkiej podróży na pochodni.

Im dłużej zatem siedział martwo w przestrzeni, jak statek z wygaszoną pochodnią, tym dalej brnęli ludzie po fałszywym wektorze nadziei; tym straszniejszy będzie krach, kiedy nadejdzie, tym trudniej skonstruować senso, które przewyciężyłoby te dynamiczną inercje i poprowadziło ludzi w kolejny obrót straszliwej spirali. Teraz D'mahl rozumiał już, dlaczego kasta próznojadów przez pół tysiąclecia wybierała kłamstwo. A im dłużej kłamstwo trwało, tym mniej możliwe stawało się obwieszczenie prawdy.

Jakie wyjście wybrała kasta próznojadów? Zignorowali asymptotyczną naturę stworzonego przez siebie potwora Frankensteina i oddali się próżni! Dla nich rzeczywistość ostateczna była super-iluzją eskapistyczną!

D'mahl z wściekłością walnął oburącz w krawędź konsoly producenta. Niech będzie co ma być, jeżeli wszystkie wektory prowadzą do próżni - próżnia musi być rdzeniem! I tak nie mam lepszego materiału. Pójdę do centrum i nie wyjdę stamtąd póki nie poczuje w garści bicia serca tego senso.

Umieścił krążek próżniossania w playbacku pomocniczego producenta i zaprogramował aparat na replay ciągły. Z początku ustalił długość programu na limit dwudziestu czterech godzin standardowych, ale zmienił zdanie. Nie, pomyślał, muszę mieć pełną władzę nad tym materiałem, żadnych ograniczeń. Do pierścienia efektów wprowadził polecenie "stop", na wszystkie inne programowanie efektów nałożył blokady, i dopiero wtedy umieścił pierścień na głowie.

Teraz będzie mógł obejrzeć swój materiał z próżni jak oryginalną, nagą rzeczywistość, mając jedynie możliwość zastopowania ciągłości przekazu, lecz bez przynależnej senso-producentowi władzy zmieniania rzeczywistości. I nie użyje stopu, póki nie będzie mógł wrócić z tym, co mi potrzebne - obiecał sobie, uruchamiając czucie na krążek próżniossania. Wrócę tylko pod warunkiem, że będzie to znów powrót na mojej własnej pochodni.

Był nieśmiertelnym embrionem dryfującym swobodnie w wiecznym łonie uniwersalnej czeluści, a miliony gwiazd były drobinkami emanującej światłem materii, oddalonymi odeń o wieczność przez przepastne jary absolutnej nicości. Wszechobecna czerń była totalną nieobecnością wszystkiego - światła, ciepła, dźwięku, barwy, życia - rozciągniętą w dal, bez granic, które nadałyby jej kształt, bez najmniejszej szczeliny, która nadałaby jej znaczenie. To była próżnia, a on był w niej.

Ku swemu zdumieniu, D'mahl stwierdził jednak, że umysł jego tym razem natychmiast ogarnia bezlitośnie prawdziwą koncepcję rzeczywistości, bez pomocy iluzji, jedynie przy udziale wrzeczona somatycznego i leku zarejestrowanego na taśmie sensorycznej. A nawet i one rozwiały się, gdy pamięć taśmy dogoniła chłodną jasność umysłu, do osiągnięcia której potrzebował w czasie realnym nieokreślonego okresu dezorientacji i leku.

Był. Był w próżni. Poruszał się, a wszystko inne trwało w bezruchu. Kształt własnego ciała postrzegał jako błonę oddzielającą jego rzeczywistość wewnętrzną od nicości na

zewnątrz, wszystko inne zaś pozbawione było granic i błon, po wieczną przestrzeń i czas. Poza realiami jego własnego umysłu była próżnia bez formy i końca, szczerkawo zanieczyszczona drobinami materii; człowiek zaś był jedynie przypadkowym produktem końcowym łańcucha dowolnych i mieszczących się poza prawdopodobieństwem zderzeń owych nie znaczących zanieczyszczeń. Próżnia ani o nim wiedziała, ani o niego dbała. Próżnia nie istniała. Była wiecznym i nieskończonym nieistnieniem, które pomniejszało i obejmowało sobą to, co istnieje. D'mahl doświadczył siebie jako cienkiej skorupy bytu wokół rdzenia nicości, unoszącej się w nicości - jako trickowej anomalii czegoś, nieodwołalnie zagubionej w beczasowym i bezforemnym zawsze. Nic nie miało znaczenia, nawet samo znaczenie. Cudem było nie to, że życie powstało zaledwie raz jeden w tej bezgranicznej matrycy niebytu, lecz że w ogóle powstało.

Czarna próżnia, bezsensownie upstrzona niedosiężnymi gwiazdami, wewnętrznie lękliwe skurcze jego własnego ciała, dogłębna świadomość otaczającej go totalnej pustki, trwanie bez czasu. Gdy się tu raz dotarło - pomyślał D'mahl - to co dalej? Pytanie tak zadane stało się śmieszne, gdyż tutaj w próżni nie było do czego adresować pytań - jedynie do siebie. Nie było co postrzegać, jedynie nieobecność postrzegania. Nie było co postrzegać. Nie było nic. Nie było.

D'mahl unosił się w fizycznej nicości i próżni umysłu, oczekując na upragnione objawienie transcendentalne. Oczekując na objawienie. Oczekując. Oczekując. Po jego umyśle ściagały się gry, kiedy tak czekał w nieobecności zdarzeń, w nieobecności znaczącej percepcji, w nieobecności wymiernego czasu, w nieobecności doskonałej. Spróbował na nowo ustalić rachubę czasu, licząc uderzenia własnego pulsu, ale szybko stracił rachubę i w ogóle zapomniał, co robił. Spróbował wyobrazić sobie naturę tego, czego szuka, lecz myśl natychmiast zaplątała się w tautologiczne pętle sprzężenia zwrotnego: gdyby wiedział, czego szuka, nie musiałby szukać. Spróbował pospekulować na temat tego, co leży poza nieskończoną nicością, która go otaczała, ażeby ustalić jakieś ramy metafizycznego odniesienia, lecz każda koncepcja zawisała na zawsze w niedosiężnych obszarach matematycznego bełkotu. Spróbował zanurzyć się do cna w samą nicość - i stwierdził, że już tam jest.

Gry wyparowały z jego świadomości, a za nimi sama możliwość gry, i stał się jedynie punktem widzenia uwięzionym w próżni nie-danych. Czerń przestrzeni nie mogła już być postrzegana jako kolor, gwiazdy zaś stały się odbłaskami statyki siatkówkowej. Wzrok i słuch

były w tej absolutnej rzeczywistości zapomnianymi pojęciami, skoro jedyne dane zmysłowe stanowiły szumy w samych systemach zmysłowych.

Myśl też zaczęła oddalać się w zapomnienie, w ślad za zmysłami, aż wreszcie nie zostało nic prócz ośrodka bólu w przepastnej i nieskończonej nicości, głucha mantra nudy tak totalnej, tak absolutnej, tak pozbawionej kontrastu, że tworzyła świat kosmicznego bólu.

Nie, nawet nie bólu, gdyż ból byłby tutaj radośnie witaną ulgą:

Coś gdzieś pojękiwało. Coś nigdzie pojękiwało. Nic nigdzie pojękiwało. Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? - skarżyło się. Dlaczego nic mi się nie dzieje? Dlaczego nic się nie dzieje? Dzieje... dzieje... dzieje... dzieje... dzieje... dzieje...

Próżnie rozdarł krzyk umysłu.

- Po co ja to sobie zadaję?

Był umysł, który chłostał sam siebie. Był umysł, który chłostał sam siebie za własną głupotę. Było zderzenie mentalne, była treść, była forma.

Był umysł Jofe D'mahla, unoszący się po wieczność w nieskończonej nudzie. Umysł, który szydził sam z siebie.

Ty sam to sobie zadajesz, głupku! - uświadomił sobie D'mahl. A wraz z tą świadomością, bezsensowne wzorki na siatkówkach jego oczu rozwinęły się w obraz galaktycznej czeluści, usiany gwiazdami. W jego umyśle zaś, wizja ta rozwijała się dalej w nieskończony mikrofilm na ruchomym krążku producenta, w jego własnym domu, na „Excelsiorze”, nie opodal centrum Karawany.

Wszystko to robisz sobie sam, ty kretynie! To ty panujesz nad tą rzeczywistością, tylko zapomniałeś, że nad nią panujesz. Nie ma problemu. Nigdy nie było problemu. Jedynym problemem jest to, żeśmy tego wcześniej nie chcieli dostrzec.

- Stop - polecił D'mahl. Siedział w kokonie fotela, skąpany we własnym pocie, gapiąc się w konsolę producenta, rycząc ze śmiechu, czując, jak, poczynając od czubków palców przeszywa go siła własnej pochodni, ożywiając wyczerpane ciało.

Śmiejąc się, posuwał blokady z banków efektów. Na co komu planety? Na co komu życie poza tym zarazkiem, który sami niesiemy? Na co komu w ogóle prymarna rzeczywistość?

- Realite, c'est moi - wyszeptał D'mahl. Mówił to już kiedyś, ale nie znał jeszcze wtedy pełnej wagi własnych słów. Bowiem na swoich skroniach dźwigał nie koronę cierniową, lecz koronę, stwórcy.

Cofnął taśmę o parę stóp i raz jeszcze zanurzył się w pustej, usianej gwiazdami czerni. Roześmiał się.

- Niech się stanie światło - polecił. I oto firmament zadrżał i stało się światło.

- Stop - polecił. I pochylił się nad produktozem. Począł rzeźbić z próżni kolejny fragment własnego znaczenia.

Twoje pole widzenia wypełnia jaskrawe, złote światło, a ciało twoje przenika rozkoszna ciepła poświata. Światło cofa się od ciebie, aż nareszcie staje się czymś, czego oko ludzkie znieść nie potrafi: plazmatycznym sercem pochodni, które zdaje się bić i pulsować jak żywe ciało. I oto siedzisz okrakiem na tym feniksowatym płomieniu, płomień rozrasta się między twoimi nogami, a jednak to ty go ujeżdżasz, poprzez galaktykę nienaturalnie wypełnioną gwiazdami, poprzez płonący firmament chwały. W miarę jak lecisz coraz szybciej, w miarę jak ciepła poświata w twoim ciele przybiera na sile z każdym uderzeniem pulsu pochodni, w poprzek gwiazdowego pola zapalają się ogniste litery, wysokie na kilka lat świetlnych:

## JEŹDZIEC NA POCHODNI

Autor: Jofe D'mahl

Kroczysz w ekstazie, a wszechświat eksploduje w kryształowe pasma światła.

Starzec o długich siwych włosach, ze zmierzwioną siwą brodą, strojny w starodawną wyświechtaną szatę, siedzi na puszystej białej chmurze, dłubiąc w czerwonym krogulczym nosie. Spod krzaczastych białych brwi spoglądają dziko wściekłe oczy, w prawej dłoni połyskuje wiązka błyskawic. Na sąsiedniej chmurze siedzi Szatan w schludnym czerwonym fraczku, czarnej pelerynie, z fularzem pod spiczastą vandyckowską bródką. Jego skóra ma



barwę zielonego jabłuszka. Szatan ćmi koniec swego długiego, krętego ogona, co jakiś czas wydmuchując kłęby lawendowego dymu o zapachu siarki. Obserwujesz te scenę nieco z góry, wdychając zabląkane opary Szatana. Dają one umiarkowanie euforyczny efekt.

- Hiob, Hiob - mówi Szatan. - Czy nigdy się nie zmęczysz ględzeniem o tym capie?! czego on właściwie dowodzi?

- Że moje stworzenia kochają mnie bez względu na to, jak obficie zarzucę je gównem - odpowiada starzec. - Jakoś nie widzę, żeby na twoją cześć wznosili kaplice sykstyńskie, Żmiju.

- Z ciebie to niezły kawał sadysty, stary satyrze. Powinieneś grać po mojej stronie.

- Uważasz, że bym nie umiał? Za takiego się masz super-złego? - Starzec wstaje, rycząc gromami, potrząsając snopem błyskawic. - Zanim skończę z tymi baranami, będą skamleć o łaskę do ciebie. Tak czy owak, ja jestem największy. Pamiętasz jak załatwiłem Egipcjan?

Szatan dmucha w niego lawendowym dymem.

- Dziesięć gównianych plag i scenka z topielcami! Amatorszczyzna i tyle.

- Tak? Tak? - piekli się starzec, ciskając gromy jak popadło; oczy latają mu jak oszalałe wrzeciona. - Ja ci pokaże, kto tu jest głównym pochodniowym! Ja ci pokaże kto to jest Pan Bóg Allah Jehowa, Król Wszechświata!

- Doprawdy? - szydzi Szatan. - Coś ci powiem: chcesz przerobić zakład o Hioba na podwójną stawkę do zera?

- Proszę uprzejmie, ty Żmiju, w każdej chwili.

- Dobra, Panie Jamjest, spuściłeś na Hioba całe szambo, jakim dysponowałeś, a on dalej czołgał się na łokciach i kolanach, żeby polizać twoje stopy. Jak jesteś taki chojrak, to pokaż, że umiesz ich złamać. Wszystkich. Pokaż mi, jak cała rasa ludzka przybiera pozycje embrionalną, wkłada palce do ust i poddaje się. Taki zakład, Panie Napoczątku. Ja ich wyprowadzę przeciwko tobie.

- Ty się chyba zgrywasz! Przecież to mój program! To ja jestem wszechwiedzący, wszechmocny, to mnie wolno rozdawać znaczone karty spod talii.

- Nawet jak przegrasz, podzielę się z tobą pół na pół.

Starzec wybucha opętańczym śmiechem. Szatan podnosi głowę, patrzy ci prosto w oczy, wzrusza ramionami i robi palcem kółko na prawej skroni.

- Dobra, synu, zakład! - mówi starzec. - A na początek - to!

I wściekłym zamachem ciska błyskawice ze swojej chmury na widoczny w dole świat.

Stoisz na zatłoczonej paryskiej ulicy, niebo eksploduje, budynki topią się i spływają chodnikami. Wieża Eiffla kruszeje i pada, a twoje ciało zaczyna się oddzielać od kości. Jesteś olbrzymim ptakiem, pióra twoje płoną w gorejącym niebie, opadasz na ugór zamiatanego wiatrem pyłu i dogorywających budowli. Jesteś delfinem, wyskakujesz z dusząco gorzkiego morza w powietrze o konsystencji papieru ściernego. Stoisz na skraju swojego pomarańczowego sadu, patrzysz jak drzewa zmieniają się w pochodnie pod wypełniającą niebo kulą ognistą, nagle włosy twoje buchają płomieniem. Leżysz bez tchu na bezkresnej równinie gruzów i szarego pyłu, niebo jest smugą rakowatych purpur i brązów.

Patrzysz, jak Szatan i starzec o dzikich oczach dryfują na swoich puchowych obłokach ponad zdewastowaną kulą Ziemi. Szatan wydaje się nieco bardziej zielony niż przedtem i ssie nerwowo sam koniec ogona. Starzec, wyszczerzony w uśmiechu, ciska od czasu do czasu ogniste gromy na małe wysepki zieleni, zmieniając je w szary pył i purpurowo-brunatny ugór.

- Ciach! - chichocze, ciskając grom. - Jak ci się podoba, Żmiju? Mówiłem ci, że jestem wszechmocny. Ani przez chwile nie mieli szans. Dawaj widły, Karolku! - wyciąga otwartą dłoń lewej ręki.

- Muszę przyznać, że to lepsze niż numer z Ziemią Egipską - mówi Szatan. - Ale... - Wyciąga koniec ogona z ust i wydmuchuje spiczastą strzałę lawendowego dymu, do góry, tuż przed twoim nosem.

Śledząc lot dymnej strzały, dostrzegasz dziesiątki srebrzystych cylindrów, oddalających się w gwiezdą czerń nocy galaktycznej.

- Aaa, to? - mówi starzec, mierząc błyskawicą w flotyllę przerobionych frachtowców asteroidalnych. - Zaraz się tym zajmiemy!

- Momencik, dziadku! - szydzi Szatan. - Tym sposobem nie wolno ci wygrać zakładu! Kiedy już nie będzie komu się poddawać, wtedy ja wygram, a ty przegrasz.

Trzęsąc się z gniewu, starzec opuszcza gromowładne ramie. Oczy mu latają jak zbiegłe galaktyki, zęby zaciskają się zgrzytliwie, z uszu dobywa się czarny dym.

- Tobie się zdaje, że jesteś okropnie cwany, co? Wydaje ci się, że potrafisz wykrzesać Głos z Trąby Powietrznej, co? Wydaje ci się, że te golone małpy mają szansę dotrzeć do następnej zielonej wyspy w swoich blaszanych, sznurkiem powiązanych krypach?

- Jest taki jeden wyjątkowo ładny świeatek, krąży wokół Tau Ceti; wystarczy im sprzętu, żeby tam dotrzeć - rzecze Szatan, puszczając do ciebie na boku perskie oko.

- Tylko mi nie mów o Tau Ceti! - pieklił się starzec. - Jestem wszechmocny, jestem wszechwiedzący, żaden klient tej knajpy nie ma do mnie startu!

Strzela palcami i w jednej chwili ty, on i Szatan znajdujecie się na falującej łące zielono-żółtej trawy, pod niebem barwy błękitu usianym ulotnymi szlaczkami białych obłoków. Ogromne pozłacane drzewa o wyglądzie sosen chwieją się leniwie w delikatnych podmuchach wiatru, a pomiędzy rabatami wielkich pomarańczowych, szmaragdowych, rubinowych i szafirowych kwiatów bujają roje maleńkich tęczowych ptaszków, wypełniających powietrze niesamowitą muzyką. Czerwone, aksamitne, kangurowate stworzenia o natchnionych liliowych oczach, pasą się w najlepsze, skaczą dookoła i trącają się czule długimi ryjkami.

- Oto twój wyjątkowo ładny świeatek, który krąży wokół Tau Ceti - sarka starzec. - Oto nowy Eden, do którego zmierzają te małpy, i nie chwaląc się, muszę powiedzieć, że nie gorszy od tego, co zrobiłem na Ziemi.

- Może nawet lepszy - przyznaje Szatan.

- Tak sądzisz? - ryczy starzec głosem gromu. Przewraca oczami i ciska w powietrze garść błyskawic, wrzeszcząc z purpurową od gniewu twarzą:

- Obróć się w gówno!

W tej samej chwili niebo przybiera barwę niezdrowego - chemicznego fioletu, poznaczonego żyłami paskudnych szarych chmur. Zielono-żółta trawa, złociste sosny i barwne kwiaty zmieniają się w śluzowatą brunatną breję, ptaki zaś i czerwone aksamitne kangury ulatniają się w postaci cuchnących purpurowych oparów. Brunatna breja i purpurowe opary mieszają się, zestalają...

A ty, ubrany w ciężki kombinezon kosmiczny, stoisz na bezkresnej równinie purpurowo-czarnej skały, pod okrutnym martwym niebem; jesteś jednym z kilkunastu mężczyzn w kombinezonach, pełzających po trupie planety jak mrówki po wyschlłym gnacie.

Patrzysz, jak Szatan i starzec zawisają na chwile ponad zmodyfikowanymi frachtowcami asteroidalnymi Karawany, a następnie oddalają się od Tau Ceti V w noc galaktyczną. Ze statków zdaje się unosić szary opar, jakby plexi ich wejść i luków zapaćkały wydzieliną milionów lat rozpaczy.

- Popatrz na nich teraz! - pieje triumfalnie starzec. Strzela palcami i we trzech patrzycie oto z rampy na prymitywny pokład rolny. Zielone porosty na syntetycznej glebie przypominają jakiś niewydarzony grzyb, w powietrzu pachnie ozonem, a widoczni w dole ziemioryjcy są garbatymi karłami, poruszającymi się niemrawo, jak pod ciśnieniem 4 gs.

- To już nie potrwa długo - mówi starzec. - Do najbliższego świata jaki zmontowałem, jest stąd odległość stulecia. Nikt z nich nie doczeka chwili ujrzenia go, i oni to dobrze wiedzą, oj wiedzą!

Znów strzela palcami i we trzech stoicie przy trzonie pochodni na pokładzie mieszkalnym pierwszej generacji: ponure niebieskie korytarze, ołowiane stropy, paskudne stalowe wykładziny, rzędy identycznych szarych drzwi Ludzie snujący się bez celu tu i tam są równie wyprani z koloru i życia jak ich otoczenie.

- A zanim zdołają tam dotrzeć ich dzieci, zacznijcie im wszystkiego brakować - mówi starzec. - Węgla dla ciała. Wapnia dla kości. Fosforu dla soków żywotnych, żelaza dla krwi.

Światło przygasa, ściany pokrywają się mgiełką. Ludzie zaczynają wiotczeć i roztopiać się, a ty czujesz, jak miękną twoje własne kości, jak krew twoja rzednie w wodę; całe twoje ciało jest jak rozłazący się budyń.

- Sami pomału zamieniają się w gnój -chichocze zjadliwie starzec.

Raz jeszcze strzela palcami - i oto jesteś abstrakcyjnym punktem widzenia u boku starca i Szatana, którzy trwają w zawieszeniu nad dogasającymi światłami Karawany.

- No co, Żmiju, będziesz płacił? - i starzec z pewną miną wyciąga rękę.

- Jeszcze się nie poddali - odpowiada Szatan, ćmiąc czubek ogona.

- Uparty dureń! - rzuca z irytacją starzec.

Szatan wydmuchuje pióropusz lawendowego dymu, któremu nie ma końca. Obłok dymu pęcznieje, narasta i rozwija się w wielką chmurę pary wodnej, która szczelnie otula flotyllę zmodyfikowanych frachtowców asteroidalnych.

- Z nich też uparte durnie! - mówi Szatan. A gdy sinawa chmura rozwiewa się, Karawana jest odmieniona. W miejsce dziesiątków zmodyfikowanych frachtowców asteroidalnych, sunących poprzez kosmos w smudze rozpaczy, pojawiają się setki nowych, zrodzonych w Karawanie, statków-pochodni, skrzących się na tle czarnego aksamitu nocy jak otwarty, piracki kufer z drogocennym łupem, odbywających dumną promenadę poprzez czeluść pod osłoną własnej triumfalnej tęczowej tęczy - błony wodorowej.

Szatan zaśmiewa się, strzela z długiego, krętego ogona jaki bicza i we trzech staje przy olbrzymiej, oplatającej trzon pochodni, spirali pokładu filtracyjnego, pośród zbiorników odzysku materiałów, konsol kontrolnych i meduzowatej głowy zwojów przekąźnikowych. Czujesz w kościach niebywałą moc pochodni, która wnika w ciebie poprzez podeszwy stóp. Szatan władczym gestem ogona wskazuje kolejne zbiorniki.

- Węgiel dla ciała - parodiuje skrzekliwy głos starca. - Wapń dla kości. Fosfor dla soków żywotnych. Żelazo dla krwi. A wszystko to z samego medium międzygwiazdowego, którego się nie pozbędiesz bez zamknięcia całego kramu, Panie Krzaku Gorejący! Oni nie obracają się w proch - oni proch obracają w siebie!

Zanosi się dzikim śmiechem, znów strzela z ogona i staje w trzech w sosnowym lasu na pokładzie rolnym, pod hologramem błękitnego nieba, wdychając wonie rosnącej roślinności.

- Popatrz, popatrz: oni zasadzili ogród na twoim ugorze! - naigrywa się Szatan, skręcając się w pół ze śmiechu na widok purpurowej od gniewu twarzy starca. Jeszcze jedno trzaśnięcie z ogona - i płyniecie oto nad ogromną promenadą wyjątkowo rozjarzonego światłami pokładu rozrywki: restauracje w złocie, szafirach i srebrze, diamentowe stoliki dryfujące na zero-grawitacyjnych płytach, cygańskie tancerki wirujące nieważko w powietrzu, różane fontanny, olśniewająca muzyka, zapach fiesty.

- Popatrz, popatrz! I miasto światła w twojej wiecznej ciemności!

Jeszcze jedno trzaśnięcie z ogona: szybujecie nad centrum Karawany, otoczonym rojem rozjarzonych statków, pod jutrznią błony wodorowej. Szatan wyciąga dłoń do starca.

- Czy to ci wygląda na przygotowania do kapitulacji, Panie Nie Będiesz Miał Innych Przedemną? Mają wszystko, czego im trzeba - i to wyłącznie z prochu! Mogą też ciągnąć po wsze czasy. Pobłogosław dłoń moją srebrem, Panie Stworzycielu Wszystkich Rzeczy Widzialnych i Niewidzialnych. Twoi synowie i córki wyrwali się spod twojej komendy!

Twarz starca z purpurowej staje się czarna. Z jego nozdrzy bucha ogień. Mierzwa brody skręca się i rozkręca z wściekłym elektrycznym trzaskiem.

- Gdyż ja jestem bogiem pomsty i gniewu! - ryczy. -I będę siekł ich i chłostał!

- Nie wysilaj się dla mnie ze swoimi błazeństwami, kabotynie, strata czasu! - szydzi Szatan, wydychając kółka lawendowego dymu. - Przyparli cię do muru.

- Tak uważasz, synu? Poczekaj, aż dotrą do kolejnej Ultima Thule! - starzec strzela palcami; łomot burzy - i staje w trzech w niebotycznym grubopiennym lesie, gdzie kora drzew fosforyzuje światłem, a liście, wielkie jak żagle, falują i klaszczą na wietrze. Chłodną ziemię pokrywa gruby kobierzec brązowej, podobnej do mchu, trawy, pocętkowany czerwonymi, niebieskimi, żółtymi i fioletowymi wachlarzami kwitnących grzybów. Pierzaste żółte i pomarańczowe dwunogi wielkości małych, skaczą górą z liścia na liść, a dołem, w brązowej trawie, tarzają się małe, tłuste, fioletowe kulki futra, podskubując grzyby.

Powietrze pachnie cynamonem i jabłkami, a nieznaczne nadbogactwo tlenu sprawia, że głowę masz przyjemnie lekką.

- Niech sam zgadnę... - wzdycha Szatan, cmokając w zamyśleniu czubek ogona.

- Obróć się w gnój! - ryczy starzec, a głos jego jest burzą, która rozdziera niebo. Puszczą krystalizuje się i rozpada w pył, brązowa trawa twardnieje w skale, zaś pierzaste dwunogi i fioletowe kulki futra ulegają dekompresji i eksplodują. Stoisz na równinie brązowej skały, poznaczonej zielonkawymi pasmami, pod niebiesko-czarnym niebem, zanieczyszczonym zielonymi chmurami, a powietrze cuchnie chlorem.

- Robisz w piętę Panie Tyś Był- mówi Szatan. - Twoje ogrody nie są im już potrzebne, gdyż ich jest moc i chwała po wsze czasy, amen. - Czyżby? - wyszczerza się starzec. - Już im niepotrzebny stary Pan Wszechświata? Czyżby? Za długo byłeś Księciem Łgarzy, synu. Nie rozumiesz, jak ci durnie są zaprogramowani. Gdyż jam ich postawił jednego wbrew drugiemu, a każdego wbrew sobie samemu. To najstarsza sztuczka w całej księdze. Strzela palcami i we trzech stoicie przyparci od zewnątrz do łuku pokładu rozrywki przez który z dzikim wrzaskiem wali tłum ziemioryjców, roztrzaskując kryształowe stoły, przewracając rzeźby z ognia i potrząsając przy tym buńczucznie krzyżami oplecionymi symul-winoroślą, czemu towarzyszy skandowanie:

- Dosyć statków! Dosyć statków! Ziemia albo śmierć!

- Niepotrzebne im moje ogrody, co? - zachłystuje się starzec. - Wygrywam na ich umysłach jak na harfie, bo to ja stworzyłem ich wszechświat, zewnętrzny i wewnętrzny. - Strzela palcami. - Teraz patrz na swoich władców energii i materii!

Stoisz na gnijącym pokładzie rolnym, wdychając kwaśne powietrze. Sosny skarłały, barwy wędną, a oczy kłaniających się oplecionemu winoroślą krzyżowi ziemioryjców błyszczą od gorączki.

- Na łokciach i kolanach czołgają się tam, skąd przyszli - rzecze starzec. - Stara śpiewka o poczuciu winy, za każdym razem ich bierze. - Znow strzela palcami i opadasz tunelem windy poprzez kolejne pokłady zadbanego statku. Powietrze jest słodkie, światła czyste i jaskrawe, lśnią wypolerowane powierzchnie z metalu i drogich kamieni, ale papuzi tłum wydaje się być zarażony lękiem, płoszy się z byle powodu, boi się cieni.

- A jeśli nie sięgnie ich prawica, to sięgnie lewica - mówi starzec.- Każdy człowiek jest wyspą, każdy jest sam. Co im ze zdobycia wszechświata, póki ja mam w zastaw ich dusze?

- A co im z tego, że wyrzekną się twojej marnej karczmy w zamian za zdobycie własnych dusz? - odpowiada Szatan, wydmuchując w każdy mijany pokład łańcuch z dymnych kółek. Pierścienie lawendowego dymu osiadają na skroniach ludzi i przemieniają się w srebrne opaski - pierwsze pełne przekaźniki sensoryczne, pierwowzory czujnika. - Strzeż się czujnika! - rzecze Szatan, gdy pierścienie przekaźników wtapiają się w czaszki swoich właścicieli, stając się chirurgicznie wszczepionymi czujnikami. - Oto Deklaracja Niepodległości twojemu scenariuszowi, O Producentach Biblijnych Eposów! Most, który łączy wyspy! Wrota do rzeczywistości, w które ty wnikać nie możesz! Korona stworzenia!

Szatan zwraca się do ciebie, gdy razem wysiadacie z tuby windy na spokojnym pokładzie mieszkalnym - chodniki ze złotych brykietów, wijące się między piernikowymi domkami z ametystu, kwarcu, topazu. Wydmuchuje ku tobie dymne kółko, które osiada na twojej głowie, a następnie wnika w twoją czaszkę.

- I co ty na to, człowieku? - pyta cię, ruchem głowy wskazując starca. - Czy ten tu Merlin Wspaniały jest rzeczywiście Bytem Wszechrzeczy i Końcem Wszechrzeczy, czy też zwyczajnym kuglarzem?

Szatan wybucha szaleńczym śmiechem, a wtedy ty strzelasz z własnego ogona, zaśmiewając się szatańsko i wydmuchując starcowi prosto w nos kłęby sinawego dymu, a starzec wybałusza na ciebie rozwścieczonego oczka.

- Gdzie on jest? - pyta starzec.

- Pan pozwoli, że się przedstawię - mówisz.

- Nie będziesz mi tu drwił z Boga! -krzyczy starzec.

- Strzeż się pana przestrzeni nad przestrzeniami i czasów nad czasami - mówisz, kurząc czubek ogona.

Kozłujesz o ziemie fioletową futrzaną kulkę, pod ogromnymi fosforycznymi drzewami. Stoisz na Champs Elysees, w pięknym Paryżu, na Ziemi utraconej. Tańczysz w



grand-salonie Jofe D'mahla i częstujesz się olśniewaczem, który w twoich ustach eksploduje w różowo-aksamitne olśnienie, przemieniając cię zarazem w kobietę kochającą się ze złocistym chłopcem na czarnym piasku plaży, nad srebrnym jeziorem, pod księżycami barwy błękitu i pomarańczy. Deską surfingową ze szmaragdowego światła suniesz po wewnętrznej krzywiznie wysokiej na mile fali, która przewala się przez bezbrzeżne turkusowe morze. Wzbijasz się w samo serce błękitno-białego słońca, płoniesz - lecz się nie spalasz.

Jesteś punktem widzenia obok Szatana i starca, którzy unoszą się w tubie windy poprzez pokłady przemienionego statku. Pozbawione wdzięku spodenki ziemioryjców ustępują miejsca wielobarwnym strojom. Z metalowych pokładów wyrastają drzewa, bluszcz i kwiaty. Ślady korozji znikają z luków pokładów rolnych, krzyże barwy winorośli rozplývają się w powietrzu, a kwaśno cuchnące bagna zmieniają się w wonne ogrody rozkoszy.

Starzec kipi gniewem. Jego czerwona twarz purpurowieje, staje się czarno-ultrafioletowa, zgrzytające zęby sypią skry, a z opuszek palców strzelają mini-błyskawice.

- oni... oni... oni... - duka zaślepiony gniewem, wzrokiem siejąc gromy.

- Tym razem zjedli owoc z Drzewa Stworzenia - szczerzy się w uśmiechu Szatan. - Jak ci się podobają te jabłuszka?

- Za zjedzenie owocu z drzewa Wiadomości Dobrego i Złego wygnałem te hołotę z Raju, ogniem i mieczem - ryczy starzec głosem tysiąca nowych. - Za to zemszczę się na nich tak, że tamta kara wyda im się spacerkiem po raj!

Po czym eksploduje w oślepiający błysk, a ty widzisz już tylko gwiazdzisty firmament i olbrzymi grzyb chmury ognia nuklearnego, wysoki na wiele lat świetlnych, skłębiony, nieogarniony - statyczny, wieczny.

- Gdyż teraz stałem się Panem Nieprzyjaciół, Niszczycielem Światów! Przypatrzcie się memu dziełu, o śmiertelni, i pograżcie się w rozpacz!

I widzisz, jak Jofe D'mahl przelatuje z szalupy kosmicznej na podest u wejścia "Beli-37". Widzisz, jak wylania się z tuby windy na mostek pokładu statku. Ty sam jesteś Jofe D'mahlem, patrzącym za siebie przez plexi w stronę Karawany - kręgu diamentowej

światłości za tęczową gazą błony wodorowej. Na twoich oczach krąg kurczy się powoli w świetlny punkcik, w jeszcze jedną abstrakcyjną gwiazdę zagubioną w czarnych bezmiarach próżni bez granic.

- Obezwładniające, co? - mówi Haris Bandoora, wstępując częściowo w twoje pole widzenia. - Sto milionów gwiazd, planet zapewne tyle samo, i ta jedna jedyna galaktyka - okruch materii pływający w nieskończonej nicości. Niegdyś byliśmy drobinami nic nie znaczącej anomalii zwanej życiem, zanieczyszczającej pyłek kurzu okrążający drobinę materii zagubioną w wiecznej próżni. Teraz nawet tym już nie jesteśmy.

- Jesteśmy liczącym się elementem - mówisz ty.

- Gdybyś wiedział...

- Wiedział - co?

- Usłyszałem wezwanie, Haris - Raj Doru, z ogniem w przenikliwych piwnych oczach, wyłonił się na mostek i stanął u boku Bandoory.

Stoisz w pęcherzu próżniowym na podeście u wejścia "Beli-37", z Harisem Bandoorą i Rajem Doru. Twoje pole widzenia obejmuje tylko maleńki statek, abstrakcyjne gwiazdy, dwóch mężczyzn i nieskończone nic. Na widok przeraźliwej czeluści odczuwasz zawrót głowy i mdłości.

Doru rozpościera ramiona, włącza polaryzator grawitacji i wyskakuje w czerń próżni.

- Co on robi? - krzyczysz.

- Syci się próżnią - mówi Bandoora. - Odpowiada na wezwanie. Oddali się tak, żeby stracić statek z oczu i pozostanie tam przez jeden standardowy dzień.

- Co on tam będzie robił? - pytasz cicho, patrząc jak Doru niknie w wiecznej nocy.

- Cokolwiek zdarza się między człowiekiem a próżnią, pozostaje między człowiekiem a próżnią. - Dlaczego wy to robicie?

- Każdy ma własny powód, D'mahl. Wezwanie ma wiele głosów. Wkrótce sam je usłyszysz, we własnym języku.

Stoisz na mostku statku zwiadowczego, patrząc jak Haris Bandoora znika w straszliwych oceanicznych Bezmiarach. - Czy słyszysz wezwanie, Jofe D'mahl? - pyta cichy głos Areth Lorenzi, nestorki próznojadów, stojącej teraz obok ciebie na podobieństwo ucieleśnionej zjawy.

- Nie jestem pewien, co słyszę - mówisz. - Może to tylko moje własne ego. Muszę zarejestrować na taśmie próznośnienie, inaczej cały czas tu spędzony pójdzie na marne.

- To jest wezwanie - mówi ona. - Do każdego przychodzi po linii jego własnego wektora.

- Jest coś, o czym mi nie mówicie.

- Jest, ale żeby to poznać, musisz zasmakować próżni. Stoisz w swoim pęcherzu próżniowym na podejściu u wejścia "Beli - 37", kolana uginają się pod tobą, patrzysz w bezdenną czeluść, w którą masz zaraz skoczyć, miliony gwiazdnych szpileczek kłują siatkówki twoich oczu, w twoich uszach wyją czarne cisze. Bierzesz wdech i nurkujesz w nieznaną. I oto unosisz się w czystej czarnej nicości, gdzie gwiazdy są okruchami świetlistej materii, oddalonymi o całe nieskończoności, o pustą nieskazitelność czeluści. Nic się nie rusza. Nic się nie zmienia. Nic nie ustępuje. Cisza jest wieczna. Czas nie istnieje.

- Co takiego wiedzą próznojady? - pytasz w końcu, choćby po to, żeby usłyszeć własny głos. - Co oni takiego słyszą tutaj, w tym nieskończonym nigdzie?

Kosmicznym tworzywem wstrząsa nieokiełznany, potworny śmiech, firmament rwie się na dwie części od olbrzymiej chmury w kształcie grzyba, wysokiej na lata świetlne, która kłębi się i kotłuje, a pozostaje niezmienna, poza czasem.

- Chciałbyś wiedzieć, co wiedzą próznojady, chciałbyś, nędzny śmiertelniku? - odzywa się głos z kolumny nuklearnego ognia. - Chciałbyś znać prawdę, od której dusza twoja szeptem w grudkę prochu?

I grzyb chmury przemienia się w starca w zszarganej szacie, o długich siwych włosach i brodzie, o wzroście mierzonym na parseki, starca, który palcami stóp zmiata gwiazdy, a którego dłonie tworzą mgławice. W oczach starca jarzą się nove, z opuszków palców strzelają komety, a na obliczu maluje się gniew, doszczętny i wieczny.

- Popatrz no na swój wszechświat, dwunożna małpo, na to, co daje ci teraz, pomioście Adama, i po wsze czasy!

Stoisz na czarnym skalistym urwisku, pod okrutnym, najeżonym promieniami słońcem, krztusząc się próżnią. Stąpasz po wodzie oleistego, żółtego morza, które wypiera twoje ciało, a sine błyskawice rozdierają seledynowe niebo. Wokół ciebie wiruje zielono-niebieski śnieg, a ty czołgasz się przez bezkresną równinę spękanych lodów pod nikłym czerwonym słońcem. Twoje kości trzeszczą pod ciśnieniem 4g, kiedy próbujesz unieść się pod kruszejącym nawiasem, a odległe niebo o obrzydliwie szarej barwie znaczą paskudne, brunatno-purpurowe smugi.

- Spójrz na swoją ostatnią płonną nadzieję, przeklęte stworzenie! - ryczy głos. -  
Spójrz na swój Eden, 997-Beta-II

I stoisz na spękany szelfie jadowicie zielonej skały, patrząc z góry na chemicznie niebieskie morze. Purpurowe niebo upstrzone jest niebieskimi i zielonkawymi obłokami, a powietrze rozdyma ci płuca, kolana uginają się pod tobą, świadomość zaczyna się oddalać.

Raz jeszcze pływasz w próżni, otoczony galaktycznym grzybem chmury, który przeistacza się w przerażający obraz starca wysokiego na całe lata świetlne. Doszczętna pustka czeluści międzygwiazdnej płonie ogniem promieni X, dobywającym się z czarnych dziur jego oczu, włosy i broda są rozdymającymi firmament grzywami gorejącego do białości płomienia, szpony palców zgniatają kolonie gwiazd, usta przecinają galaktykę blizną śmierci, a gniew jego jest absolutny.

- Proch, śmierdzący mikrobie! - wyje głosem, od którego dziesięć tysięcy planet wyskakuje z orbit.

- Wszystko to proch marny! To właśnie wiedzą próżnijady. Biada ci, stworzyłem dla ciebie wszechświat, który nie ma końca, czas i przestrzeń bez końca. A w całym tym dziele jeden ogród obfitujący w życie, jedną Ziemię, jeden Eden, który własnymi rękami na zawsze zniszczyłeś. Wszystko inne to proch - pusta próżnia, trujący gaz, martwa materia, światy bez końca, czas bez litości! Patrzcie na dzieła moje, o śmiertelni, patrzcie na swoje wiezienie, i bądźcie pogrążeni w rozpacz!

Od jego śmiechu drży galaktyka, a oczy jego są jak otchłanie piekielne.

Potrząsasz głową i uśmiechasz się. Palcem wskazującym prawej ręki mierzysz w piekłącego się kolosa.

- O jednym zapomnisz, kuternogo - mówisz. - To ja stworzyłem te rzeczywistość. Ty nie jesteś rzeczywisty. Ulotnij się, bzduro chorej wyobraźni! I monstualny starzec poczyna się rozpywać w ogromną sinawą mgłę.

- Może i nie jestem rzeczywisty - mówi - ale na pewno rzeczywista jest sytuacja, w której się znalazłeś. Z niej się wymigaj, pyskaczu! - Znika, dłubiąc kciukiem w nosie.

A ty widzisz Jofe D'mahla, małą figurkę w lśniącym lustrzanym kostiumie, stojącą samotnie w wieczystej czeluści. Odwraca się do ciebie, rośnie, mówi:

Czyśmy wbrew Fatum nie konspirowali,

A, ujarzmiwszy podły kształt wszechrzeczy,

W kształt marzeń czyśmy go nie przemieniali?

Lustrzany strój D'mahla sieje błyski w nieskończoność, poprzez barwy widma światła. Z opuszków jego palców strzelają błyskawice, a zorze otaczają pierścieniami jego ciało jak fale błon wodorowych.

- Niech się stanie światłość - powiedzieliśmy dnia pierwszego - i oto jest światłość. Jesteś D'mahlem, wokół ciebie wyrasta nagle drogocenny przepych dwóch tysięcy czterdziestu statków-pochodni.

- Niech się stanie niebo - rzekliśmy dnia drugiego - mówisz, i stoisz oto na pastwisku pełnym łagodnych, purpurowych pagórków, pod tęczowym niebem, w roztańczonym tłumie obywateli Karawany.

- Ziemia. - oto tłum przeniesiony zostaje na "Eizdgin", gdzie ziemioryjcy połączywszy trzy pokłady stworzyli las niebosiężnych sosen i królewskich dębów pod lazurowym niebem.

- Niech się stanie materia i energia bez końca - rzekliśmy dnia trzeciego - mówisz i czujesz moc przepływającą przez twe ciało, gdy siadasz okrakiem na obniżonym tronie

pochodni, gdy sam stajesz się pochodnią, na której jedziesz. - I oto jest materia i energia wiecznotrwała.

A dnia czwartego udaliśmy się na odpoczynek - mówisz dryfując w próżni. - I na kontemplację tego, czegoś sami nie stworzyli. Stwierdziliśmy, że jest to pozbawione życia oraz znaczenia i że jest bez nadziei niedoskonałe.

- Dnia piątego zaś - rzecze D'mahl, a ty widzisz go stojącego w czerni, odzianego w strój z tysiąca świateł - porzucimy nasze dzieciństwo, bogi i demony, planety i słońca, winy i skruchy. D'mahl stoi przed ogromnym drgającym ekranem, patrząc z góry na trawę i las pokładu rolnego.

- A dnia szóstego, czyż nie powiemy: Niech się stanie życie? I czyż nie stanie się życie?

Niedźwiedzie, krowy, jednorożce, konie, psy, lwy, żyrafy, czerwone aksamitne stworzenia o wyglądzie kangurów, hipopotamy, słonie, tygrysy, bawoły, myszy, kolibry, myszy, zające, gęsi, zebry, kozy, małpy, skrzydlate smoki, tapiry, orły - gnają na łeb na szyję, lądem i powietrzem, z drgającego ekranu, aby wypełnić swoją muzyką lasy i pastwiska.

Jesteś D'mahlem, czujesz, jak moc pochodni przenika twoje ciało, siejesz błyski z opuszków palców, stoisz w samym centrum Karawany, skąpany w świetle, życiu i ruchu. Mówisz:

- A dnia siódmego, czyż nie powiemy: Obyśmy byli płodni i rozmnażali się i zapelniali martwe, nie skończone obszary próżni statkami, życiem i znaczeniem?

I rozpościerasz ramiona, a wokół ciebie eksploduje rój statków-pochodni i Karawana rozkwita w olbrzymią mandalę, wypełniając sobą czerni otchłani, niezmierzoną, otwierającą się w nieskończoność, wieczną.

- I czyż nie będzie to dzień wieczny?